Zeszyt 6. Lwów dnia 20. Lutego 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

Prenumerata kwartalnie 3 złr. = 6 mark. półrocznie 6 złr. = 12 mark.

Wychodzi dnia 1go, 10go i 20go każdego miesiąca.

W. Maniecki Wydawca i odpowiedz. za Redakcją we Lwowie, Rynek l. 28.

Prenumeratę i Inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki, hotel europejski.

Złamane Serca.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

(C d.) Ta obojętność, chłód, zniechęcenie, zniecierpliwiły nareszcie ojca, i gdy pewnego wieczora zapytawszy o coś syna, otrzymał od niego znowu odpowiedź bardzo zimną, chociaż innej się spodziewał, zawołał prawie gniewnie:

— Jak widzę chłopcze, z ciebie nic nie będzie! Ani to do tańca ani do różańca... ani be, ani me! Kto słyszał żeby chłopiec w piętnastym roku żadnych nie miał upodobań, żadnych pragnień! Kupiłem ci konia przed rokiem, czy siadłeś nań kiedy? nie! a ja już w szóstym roku jeździłem jak sto djabłów! Pytam nieraz: czy chciałbyś zobaczyć to lub owo? nie! Może chciałbyś tam lub tam pojechać? — także nie! Ależ to istna baba, nie chłopiec!

Gdy ojciec tak mówił, Bolcio wpatrywał się w niego jakby z przestrachem, a gdy babą go nazwał, lekki rumieniec na twarz mu wystąpił. Wandzia zaniepokojona przysunęła się do brata, a matka sercem odczuwając że syn cierpi, w te słowa przemówiła:

— Nie gniewaj się na niego Stasiu, cóż on temu winien że ma inną naturę?

— To źle że ma inną! Powinien mieć polską, szlachecką, jak jego ojciec! Ale nie, moja duszko, nie! On ma moją naturę, tylko źleś go wychowała, pieściłaś zanadto, chuchałaś jak na pisklę, i oto masz! Ale ja to wszystko odmienię. Jak Bóg da doczekać, całe przyszłe wakacje musi ze mną spędzić... już ja sam będę się nim opiekował. Będziemy razem chodzili, jeździli, pójdziemy na tygrysy.

— Na tygrysy?! — zawołały matka i córka równocześnie.

— Cóż w tem tak dziwnego? Przecie tu cały świat poluje na tygrysy, a chociaż ja sam nie widziałem jeszcze tej bestji, to li dla tego, że czasu nie miałem. Teraz jednak przy nadarzonej sposobności wybiorę się z innymi, boć to prawdziwa przyjemność ubić takiego hultaja.

— Polowanie na tygrysy bardzo niebezpieczne — wtrąciła żona.

— Jak każde inne... byle mieć dobre oko i rękę pewną a i tygrys nic nie zrobi. Nie bój się Marysiu, już ja go bez przygotowania nie wezmę. Temi dniami kupię mu strzelbę, moja dla niego trochę za ciężka, a jak już się nauczy strzelać kulą w lot bażanty, które w plantacjach robią mi ciągłą szkodę, to wtedy i tygrys nie będzie mu straszny Cała sztuka dobrze wymierzyć i trafić. Chłopiec musi być mężczyzną, nie babą!

Bolcio usłyszawszy, że go ojciec drugi raz babą nazwał, skrzywił usta jak dziecko gdy chce płakać i wyszedł do drugiego pokoju. Wandzia za nim pospieszyła; jej się nawet zdawało, że w oku brata dostrzegła jakby łzę...

— Nie martw się, Bolciu — perswadowała — tatko dobry, on ciebie bardzo kocha, ale on ma teraz wiele zmartwień, bo mu się bawełna nie urodziła, więc czasem mówi tak przykro... nawet mama przedwczoraj płakała, chociaż tatko tak ją kocha.

— Ja się nie martwię, Wandziu — odpowiedział — ale mnie głowa boli.

Rzekłszy to usiadł pod oknem. W tej samej

chwili bardzo pobladł, zesztywniał, i w siostrę wpatrzył się okiem bez wyrazu, nieruchomem, jakby obumarłem. Wandzia, ukrywająca przed rodzicami od lat tylu nerwową chorobę brata, a właściwie jej objawy gwałtowniejsze, bo o tem, że Bolcio był chory nerwowo, oni niestety aż nadto dobrze wiedzieli, nie przelękła się tem nowem, aczkolwiek bolesnem zjawiskiem, lecz chwyciwszy go silnie za rękę, bryznęła mu w oczy wodą, która na szczęście stała obok w dzbanie glinianym. Bolcio zbudził się, westchnął, potem ziewnął kilka razy i znowu był jak dawniej; co się przed tem z nim działo — nie wiedział.

Gdy matka weszła do pokoju, brat siedział obok siostry i spokojnie z nią rozmawiał.

Co nocy Wandzia z Bolcia oka nie spuściła, a gdy wszyscy spać się kładli, ona pod pozorem że ma ukończyć bardzo pilną robótkę, postawiła sobie światło w rogu sypialni, tak, by śpiącej matki nie raziło, i w domu całym czuwała sama jedna, wytężając słuch, ażali z pokoju ojca i brata nie doleci jaki głos niezwykły. Nie zawiodła się... około północy usłyszała ciężkie, do jęków podobne westchnienia Zadrżała... Przed czterma laty, po owej hałaśliwej zabawie ludowej, on jęczał tak samo...

Cichutko, na palcach, weszła do sypialni ojca, i jak ongi usiadła przy łóżku brata. Bojąc się, by się nie zbudził, nie położyła mu teraz ręki na czoło. Twarz śpiącego była w części oświetlona blaskiem księżyca, który znalazłszy otwór w storach okno zasłaniających, wdarł się zdradziecko do wnętrza pokoju i magnetycznym promieniem dotknął się twarzy śpiącego.

— Ach! — jęknął Bolcio, zrywając się szybko i na łóżku siadając — ach! jak mi w uszach szumi!

Oczy miał otwarte, i patrzył na Wandzię, lecz mówił dalej, jakby jej nie widział.

— Szumi mi, okropnie szumi... A jaki tu przykry zapach spalenizny.. strach jaki przykry! Cicho, cicho... w kościele na pagórku dzwonią we wszystkie trzy dzwony... jak żałobnie, jak smutno, jak boleśnie! Cicho... teraz ksiądz Markett śpiewa... jak on zawodzi? Jaki tu przykry zapach spalenizny, świec żarzących i pochodni... Ksiądz Markett znowu śpiewa... Wandziu nie płacz, nie płacz!

— Ja nie płaczę, Bolciu! — przerwała siostra, nachylając się do brata i głowę jego biorąc w swoje dłonie. — Ja nie płaczę... Ale ty się uspokój Bolciu, uspokój!

— To ty Wandziu? Dobrze że tu jesteś... Czy czujesz ten przykry zapach spalenizny?

— Nie.. ja nic nie czuję

— A słyszysz jak dzwonią, słyszysz?

— Ja nic nie słyszę... ale ty masz słuch lepszy, więc zapewne słyszysz muzykę dzwonów na szczycie świątyni pogańskiej.

— O nie, Wandziu, nie! To w naszym kościele dzwonią. Ach! jak mnie głowa boli!

— Spij Bolciu, spij, ciebie księżyc zbudził. Muszę zasłonić tę szparę... o tak... teraz będzie ci lepiej. Spij Bolciu, Bóg czuwa nad nami.

Pocałowała go w czoło; on zaś bezwładnie zsunął się na poduszki i zaraz usnął.

Wandzia cała we łzach wróciła do swego pokoju, a padłszy na kolana przed obrazem Bożej rodzicielki, który nad jej łóżkiem wisiał, długo, bardzo długo modliła się, prosząc o zdrowie dla brata.

W tydzień później Bolcio do szkół odjechał.

XX.

Pewnego poranku, gdy rodzice i Wandzia siedzieli przy śniadaniu, zatrzymał się przed ich domkiem słoń z podróżnymi. Wybicki na ganek wybiega i własnym oczom nie wierzy. Gościem nie był nikt inny, jak master Ellington, już dobrze siwy i zgarbiony, który przyjechał w towarzystwie jakiegoś młodzika nadzwyczaj długiego, chudego i żółtego.

— Nie spodziewałeś się nas sir w tych stronach — przemówił nowo przybyły wchodząc do salonu i gospodarza czule ściskając — ale ponieważ wypadła mi tędy droga, więc jakże było nie odwidzić dawnego znajomego? Zresztą chciałem także przedstawić ci, sir, mojego syna najmłodszego, Wiliama.

Młody człowiek skłonił się bardzo zimno, bardzo sztywnie.

— Serdecznie panom dziękuję za tę niespodziankę — odpowiedział gospodarz. Lecz czy wolno wiedzieć dokąd droga wiedzie? Zaiste, prędzej byłbym się śmierci spodziewał niż że panów u siebie zobaczę.

— Mój syn został inżynierem, królewskim inżynierem — rzekł master Ellington kładąc szczególny nacisk na ostatnie dwa wyrazy.

— *Yess!* dorzucił młody Wiliam prostując się w całej swojej długości.

— Winszuję, winszuję — odparł Wybicki — inżynier królewski w tak młodym wieku, to nie żarty! Jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, przed laty piętnastu, gdyśmy do Indji razem płynęli, młody pan Wiliam nie miał więcej jak sześć lat.

— *Yess*, sześć lat, trzy miesiące i czternaście dni skończyłem w dniu przyjazdu do Kalkuty — odrzekł inżynier królewski, u którego dokładność we wszystkiem była najwyższą zaletą.

Ojciec spojrzał z dumą na syna.

— Zapewne pan jedzie objąć gdzieś posadę w okolicy? zapytał gospodarz.

— *Yess*, w Patna.

— A ja go odprowadzam — dorzucił ojciec.

— W Patna! jakże mnie to cieszy. Właśnie mój syn jedyny jest tam w szkołach. Biedny chłopiec, trochę słabowity. O! bardzo, bardzo panom jestem wdzięczny, żeście o mnie nie zapomnieli. Mój Bolcio będzie uszczęśliwiony!

Podczas gdy panowie tak rozmawiali, panie, które poprawiały swoje toalety, weszły do salonu. Master Ellington aż oczy wytrzeszczył ujrzawszy jak Wandzia w tych kilku latach zrobiła się słuszną i dorodną panienką Wandzia jak każda kobieta, zbyt miała bystre oko, by nie zauważyć tego wrażenia, lecz ani ją to ucieszyło, ani zadziwiło. Nawet i wtedy, gdy po zamienieniu kilku słów, niezbędnych wśród takich okoliczności, master Ellington począł na nią zwracać uwagę swojego syna, który stał na boku nieruchomy, bezmyślny jak posąg indyjskich fetyszów, Wandzia zachowała się obojętnie.

Sir Wiliama znała ona dzieckiem w Kalkucie, lecz od ich przyjazdu w te strony lat już kilka upłynęło, a jego postać była tak mało zajmująca! Czyż mogła go więc pamiętać? Teraz zaś wyglądał tak pociesznie, że jego spojrzeń ani żenować się ani unikać nie potrzebowała. Kobiety wytrzymują łatwo spojrzenia mężczyzn brzydkich, którzy im się nie podobają, a sir Wiliam był brzydki, jak grzech śmiertelny!

Master Elligton, powiedzmy to sobie na ucho, nie w samym tylko zamiarze odwidzenia dawnego znajomego, z którym serdeczniejsze stosunki nigdy go nie łączyły, zawitał w te strony. Jako ojciec czuły, a przezorny, pragnąc by syn co prędzej stanął na silnych nogach, zwłaszcza że jego właśnie nie należały do zbyt mocnych, postanowił odwidzić Wybickiego, aby poznać jego córkę i synowi znajomość z nią ułatwić. Że Wandzia musi być piękną i będzie się podobała o tem ani chwili nie wątpił, a że biedną nie będzie to także wiedział. Ojca znał ze strony jak najlepszej, jako człowieka, który majątku jeżeli nie przysporzy, to pewnie nie straci; matkę cenił jako kobietę zacną, a że nad Gangesem dobrze im się powodziło, o tem słyszał od kupców, którzy z Wybickim w handlowych stosunkach zostawali. A kto może wiedzieć, myślał sobie także, czy ten Wybicki nie odziedziczy z czasem wielkiego majątku we własnym kraju? O tych wychodźcach nigdy nie można mówić że są biedni... Dziś nic nie ma, jutro pan krociowy. Słyszałem już o takich wypadkach. Nakoniec i to trzeba wziąć na uwagę, że ten ich syn do niczego... nie pociągnie on długo... prędzej więc lub później, cokolwiek rodzice mieć będą, wszystko córce zostawią. Dziewczyna jeszcze młoda, ale za rok, dwa, małżeństwo mogłoby się skojarzyć.

Tak rozumował master Ellington i ani chwili nie wątpił, że ukochany jego Wiliam byle zechciał, podbije serce Wandzi. Wszak w oczach ojca był mężczyzną tak dorodnym, a w dodatku miał godność inżyniera rządowego. To nie żarty!

Innego atoli zdania musiała być Wandzia; bo nie tylko na żaden uśmiech młodego gościa uśmiechem nie odpowiedziała, nie tylko unikała z nim rozmowy, zbywając jego komplementa, których przez dwa dni uczył się w drodze na słoniu, dość krótkiemi i suchemi odpowiedziami, ale nawet przy obiedzie, gdy jej chciał podać owoce, uprzedziła go przysuwając je sobie sama. Może kto powie, że Wandzia była jeszcze za młoda, więc nie wiedziała jak się zachowywać w obec kawalera skończonego: na jej usprawiedliwienie musimy odpowiedzieć, że chociaż miała dopiero niespełna lat czternaście, a obok nich całą niewinność uczuć i myśli przywiązanych do tego wieku, od niejakiego czasu uważała się już za panienkę skończoną i jako taka nie starała się nigdy tym podobać, którzy jej się nie podobali. Zalotności, szukającej oklasku i pochwały nawet u tych, którzy nam są wstrętni, ani śladu nie miała w swoim charakterze.

Rodzice, którym przez myśl nie przeszło w jakich zamiarach master Ellington zawitał do ich domu, zaprosili go uprzejmie by dni kilka u nich wypoczął, na co on najchętniej przystał. Wandzia nie bardzo była tym razem zadowolona z polskiej ojca gościnności, wszakże przyzwoitość nie pozwalała z tem się zdradzać.

Wieczorem, gdy ojciec z synem odeszli na spoczynek, pierwszy zapytał:

— Cóż Wiliam, podobała ci się panna?

— *Yess*, miss Wancza bardzo piękna.

— Chwała Bogu! A cóż ona?

Sir Wiliam pokręcił głową.

— Cóż? napierał ojciec.

— Nic...

Ojciec znając dobrze syna, z tej odpowiedzi lakonicznej domyślił się wszystkiego. Chwilę podumał, potem rzekł:

— Mniejsza o dziś, byle jutro było nasze Kto kiedy poznał kobietę! Może właśnie dla tego żeś się jej bardzo podobał, zachowuje się odpornie... Oho! każda kobieta to filut! Znam ja je doskonale! Ale ona cię pokocha, pokocha Wiliamie; ktoby nie pokochał takiego chłopca!

Sir Wiliam uśmiechnął się od ucha do ucha, ojciec zaś na znak zadowolenia uderzył go po ramieniu.

XXI.

Na drugi dzień Wybicki otrzymał wiadomość, że w okolicy przygotowują się wielkie łowy na tygrysa królewskiego, który od dłuższego czasu mieszkańców niepokoił.

W okolicy było dosyć zwierzyny, mianowicie

dzików, które w trzcinach nadbrzeżnych rzadziej wyśmienite miały schronienie i legowiska; a co do drapieżników, te jakoś nie pojawiały się w tych stronach. Dopiero w ostatnim roku zauważano parę tygrysów królewskich, samca i samicę, i dwoje młodych. Między niemi szczególnie samiec okaz niepospolitej piękności, jakich w Bengalu nie wiele się już znajduje, Europejczycy bowiem tępią je bez litości kulami wybuchającemi, roznosił postrach dokoła, napadając stada owiec, koni, bawołów, a ilekroć nadarzyła mu się sposobność nie oszczędzał także ludzi. Rzecz łatwa do zrozumienia, że z sąsiadem tak miłym należało raz skończyć

Aby ten cel łatwiej osiągnąć, postanowiono urządzić wielką obławę, w którejby wzięło udział przynajmniej kilkuset ludzi. Myśl rzucona przez pewnego Babu, mieszkającego o sześć mil angielskich od Mokijohoo, przyjęła się prędko, poczem na obławę przeznaczono 16. listopada. Babu, w porozumieniu z kapitanem angielskim, przebywającym w okolicy, który miał łowami kierować, rozesłał zaproszenia do wszystkich Europejczyków i bogatych krajowców, mieszkających w promieniu kilkumilowym. Jedno takie zaproszenie otrzymał Wybicki.

Gdy nazajutrz gości swoich o tem uwiadomił, okazując sam radość najwyższą, ci z różnem uczuciem tę wiadomość przyjęli. Master Ellington nie taił, że od dziecka w kantorze pracując, nie miał czasu oddawać się polowaniu, które może być rozrywką nadzwyczaj przyjemną dla dżentelmenów, ale dla kupców praktycznych i spokojnych pozostanie zawsze bezużytecznem czasu zmarnowaniem.

— Zresztą — kończył, gdyby szło o wyboksowanie kogo — tu cofnął się w tył o dwa kroki i w mgnieniu oka założył rękawy od surduta — to mimo lat sześćdziesięciu nie wahałbym się ani chwili, bo na tem rozumiem się doskonale, oho! doskonale... sir Roberts w Kalkucie może to poświadczyć... ale spotykać się z tygrysem.. Nie, doprawdy, ja takiej przyjemności nie pojmuję.

— A ja jestem nad wszelki wyraz uszczęśliwiony — zawołał gospodarz — że przecie raz nadarzy mi się sposobność zajrzeć w oczy tej bestji. U nas, Polaków, zamiłowanie do łowów jest już we krwi. Zaledwie chłopiec od ziemi odrośnie zaraz bierze się do strzelby i konia. Za młodu polowałem na zające, kozły i lisy, w moich bowiem stronach nie było grubszej zwierzyny; później strzelby w ręku nie miałem i dopiero tu, w Indjach, strzelałem kilkanaście razy do głuszców i dzikich indyków.

— O! polowanie na indyki także niebezpieczne! — przerwał master Ellington Nie dawno temu opowiadał mi ktoś w Kalkucie, że indyki mało go na śmierć nie zadziobały.

— Co do mnie, nie byłem jeszcze w takiem niebezpieczeństwie i dla tego polowanie na ptactwo, chociażby największe, nie jest u mnie żadnem polowaniem. Ojciec nie ma więc ochoty — mówił dalej Wybicki patrząc na sir Wiliama — lecz w jego zastępstwie może pan się wybierzesz?

— On? przenigdy! — pospieszył master Ellington oświadczyć. — On nie ma zdrowia, a ze strzelbą także nie umie się obchodzić

— Piękny mi inżynier, który nie umie obchodzić się ze strzelbą! — zawołał Wybicki z tą otwartością, znamionującą polskich szlachciców tak dobrze nad Wisłą jak nad Gangesem. — Inżynier powinien umieć wszystko i znać się na wszystkiem, bo inaczej nie jest dobrym inżynierem. Inżynier powinien nawet robić strzelby! i nie tylko strzelby, armaty! Bóg wie co jeszcze!

(C. d. n).

Szermierz pióra.

Powieść

według oryginału obcego przez H. W.

(C. d.) — Jeżeli pani idzie wyłącznie o wielkie przestrzenie, zapewne.. My inaczej mierzyć przywykli. Pani znajdziesz nasz sposób zapatrywania się na widoki otaczające, nędznym, ograniczonym, a ja nawzajem mogę panią zapewnić, że pani amerykańskie sławione okolice wydawałyby się nam dzikie, puste, bez życia.

— Doprawdy? Wiesz pan o tem tak dokładnie?

— Najpewniej.

— Podziwiam pana, istotnie! — ciągnęła dalej Joanna z ironią gryzącą — że pan możesz wygłaszać z taką precyzją zdanie tak nieuzasadnione! Masz naszą Mississippi za jakąś puszczę. Przynajmniej ze swoich książek powinieneś się pan był dowiedzieć, że życie jakie tam panuje, przewyższa o wiele to wszystko, co się tu nazywa życiem, handlem, przemysłem.

— Życie z dziś na jutro! — zawołał profesor coraz więcej wzburzony — życie mrówek, zajętych jedynie walką nieustającą o byt codzienny i nagromadzaniem coraz większej ilości pieniędzy! Twoja olbrzymia rzeka, miss Forest, mimo tysiąca tratw i parowców, które co dzień jej nurty prują, mimo miast rojących się ludźmi i wrzących przemysłem, mimo że jej brzegi okrywa przyroda najbujniejsza, nie może dać pani tego, co nam przynosi z każdą falą rzeka nasza! Od niej wieje czar przeszłości, historja dziejów ojczystych, poezja wieków całych! Nam — tu Servigny zaczął mówić bezwiednie prawie po francusku, jakby za mało mu było języka angielskiego, chociaż nim władał znakomicie — nam dzwoni w jej nurtach echo tysiąca podań, tysiąca legend ludu naszego. Szum lasów, nawet martwe kamienie, o które opieramy się w tej chwili, wszystko mówi nam o przeszłości. A ta przeszłość była potężną! Dzielni ludzie zamieszkiwali tę ziemię, zawieszali swe orle gniazda

na tych oto nagich skałach, opuszczając je tylko dla walk świętych, szlachetnych; piersiami swemi kraj zasłaniali, bronili całości ojczyzny! Takiemi to wspomnieniami rozgrzewa nam serce widok rzeki rodzinnej. Wpatrzeni w jej fale, przypominamy sobie naszych wielkich ludzi, ich wielkie czyny, uczymy się coraz więcej kochać kraj rodzinny. Oto co „my" sercem odczuwamy na widok naszej rzeki — dla „obcej" nie może ona mieć tego uroku, bo „obca" jej nie zrozumie.

Joanna słuchała zrazu tylko zdziwiona; dalej coraz więcej wzruszona, wreszcie ta ognista wymowa oczarowała ją zupełnie! Co to znowu za nagła zmiana w tym człowieku? Stał teraz dumny, wyprostowany, twarz mu pałała namiętnem uniesieniem, oko natchnieniem promieniało, a ten dźwięk metaliczny głosu, ten potok słów, to bogactwo myśli i obrazów! — Zdało jej się w tej chwili, że i tu rozdarto mglisty całun, który dotąd przysłaniał tę potężną inteligencyę, a cała postać stanęła przed nią jakby aureolą otoczona i promienista, olśniewająca!

Joanna nie mogła jednak długo podlegać podobnemu urokowi: była dotąd za mało kobietą, a za wiele miała w swym charakterze dumy, energji i woli nieugiętej. Czuła instynktowo, że ten człowiek dziwnie na nią działa, że jest w nim jakaś siła tajemnicza która ją pociąga, że to uczucie chwilami bierze przewagę nie tylko nad jej sercem, ale nawet nad jej wolą.

A ona tego nie mogła dopuścić, ona nie chciała! Z całą gwałtownością postanowiła raz na zawsze zerwać te pęta krępujące ją. Ją! wolne dziecko Ameryki! Cała jej natura przeciw temu protestowała! Ona wyrwie się z tego koła zaczarowanego; ten człowiek jej nie opanuje, niech się co chce dzieje! To też chwyciła bez namysłu za broń, która jej się wydała najskuteczniejszą, a tak dotkliwie raniącą w rękach kobiety... za broń sarkazmu i ironii.

— Nie wiedziałam że z pana taki poeta natchniony!

Servigny drgnął, jakby zgrzyt fałszywy o jego ucho uderzył:

— Ja, poetą? — odrzekł głosem niepewnym, stłumionym.

— To, coś pan dopiero wygłosił, nie zakrawało wcale na prozę.

Servigny odetchnął głęboko, i potarł ręką czoło.

— Daruj pani, żem ją śmiał tą poezją znudzić. Proszę moje zapomnienie przypisać jedynie nieobyciu ze światem. Wiem przecie, że pierwszą regułą życia towarzyskiego z damami, jest ta, żeby nie mówić z niemi o przedmiotach, dla nich niezrozumiałych i nieprzystępnych.

Joanna zagryzła gniewnie usta. Ten „uczony pedant", za jakiego miała go do dzisiaj, dziwnie szybko rozwijał swoje zdolności! Przed chwilą poeta natchniony, przeszedł z łatwością w ton złośliwy, sarkastyczny! Tem lepiej! tego tylko pragnęła! na tem polu pewno jej nie pokona. Zmierzą się oko w oko, równy z równym! Joanna zaślepiona najwyższem rozdraźnieniem, nie zwróciła wcale uwagi na twarz profesora, która znowu zbladła, a wyraz jej zdradzał tak głębokie rozżalenie, że tylko ból srogi, jaki mu zadawała, wywołał na usta jego gorycz, tak u niego nie zwykłą! On ją śmiał dotknąć sarkazmem! potrafi i ona kłuć dalej! Poznała go dobrze z tej strony, że te błyskawiczne chwile dziwnej siły, dziwnej energji, pojawiają się jedynie w tej zresztą tak apatycznej naturze z dwóch przyczyn: gdy jest natchniony, lub dotknięty do żywego! Ona go natchnąć nie potrafi — ale będzie go drażnić — gdyż to umie znakomicie.

— Za to ja w panu podziwiam tę łatwość i skłonność do marzeń poetycznych! Człowiek nauki tak poważnej! To pewna, że w poetycznych zachwytach i marzycielstwie stoicie wyżej od nas!

— W dwóch rzeczach, które pani raczysz zapewne uważać za zupełnie zbyteczne.

— Jestem przynajmniej tego zdania, że mężczyzna stworzony do czynów, a nie do marzeń bezowocnych; czemże jest poezja? chorobliwem, bezczynnem marzycielstwem.

— Więc pani wszelką poezję z góry potępiasz, i masz dla niej tylko pogardę?

— Tak! — Joanna czuła całą bezwzględność, całą brutalną szorstkość, z jaką to „Tak" było wymówione. Ależ ją wyzwano do walki, chciała też do krwi zranić, i powiodło się jej to w zupełności. Czoło profesora ściągnęło się gniewnie, oczy zabłysły złowrogo — rzecz szczególna! przyjął to tak obojętnie, gdy drwiła z jego uczoności, a nie mógł znieść spokojnie gdy jej sarkazm z taką zaciekłością rzucił się na poezję.

— Powinnabyś pani być mniej szczodrą w okazywaniu twojej pogardy. Są rzeczy daleko więcej na nią zasługujące, niżeli nasza szczytna poezja.

— Której nie rozumiem, i która jest za wysoką dla mego tępego pojęcia — odrzuciła Joanna z przekąsem.

— Bo jej pani nie chcesz rozumieć — a jednak i ona wywalczy sobie miejsce w sercu twojem, jak onej chwili był cię opanował widok rzeki rodzinnej, mimo żeś go nazwała nędznym i ścieśnionym.

Joanna oniemiała z gniewu i ze zdziwienia. Jakim cudem potrafił ten człowiek zbadać jej serce? On, który zdawał się tak roztargniony, tak wiecznie zamyślony. Kto mu pozwolił określać z taką nieubłaganą jasnością jej uczucia najtajniejsze, do których dotąd sama przed sobą przyznać się nie chciała? I jej jasno zrobiło się w myśli. Uczucie, które było dla niej aż do tej chwili nieokreślone, niepewne, znalazło punkt oparcia. Ten człowiek wdziera się powoli w jej serce, w jej myśli, krępuje jej wolę! Jest dla niej bardzo niebezpiecznym! Musi zrzucić z siebie wpływ jego, choćby kosztem śmiertelnej zniewagi!

Powstała, a prostując się dumnie, zmierzyła okiem pogardliwem profesora od stóp do głowy.

— Mocno żałuję, że tym razem pański wzrok, umiejący nawet serca przenikać, zawiódł go zupełnie! Co do moich sympatji i antypatji, racz pan mnie samej sąd o nich zostawić. Jeszcze raz zapewniam pana najuroczyściej, że nienawidzę sentymentalności i marzycielstwa

w każdej postaci, a nic na świecie nie może być dla mnie wstrętniejszem jak — pióra szermierze!

Kość była rzucona — te ostatnie słowa ugodziły w profesora jak ostrze sztyletu; wszystkie nerwy w nim zadrgały, krew mu do głowy uderzyła, a z oczu strzelił piorun gniewu tak gwałtownego, że każda inna na miejscu Joanny byłaby przed nim struchlała. Chwilę walczył z odpowiedzią równie ostrą i namiętną, którą prawie czytało się w jego rysach, która zdawała się na ustach zawieszona. Nagle odwrócił się i przysłonił ręką oczy.

Joanna stała dotąd nieruchoma. Stało się jak chciała; wywołała burzę jeszcze straszniejszą niż w owej chwili, gdy ją porwał w ramiona i uniósł mimo jej woli. Co będzie teraz? Po krótkiej pauzie zwrócił się ku niej Servigny. Twarz znowu była blada, głos zupełnie spokojny, tylko głuchy, stłumiony, nie miał już tego pięknego metalicznego dźwięku co wprzódy.

— Zapominasz pani, że i przywileje kobiet mają pewne granice. W towarzystwie pozwalają wychodzić ci częstokroć po za te granice, z pobudek, o ile mnie się zdaje, całkiem prywatnych i niezbyt szlachetnych. Co do mnie, muszę pani przypomnieć, że do jej towarzystwa nie należę, a obrazy osobistej znosić nie przywykłem. Mężczyznie odpowiedziałbym inaczej. Panią zaś — zapewniam, że będę się odtąd starał najusilniej, żeby nasze drogi nie zeszły się więcej.

Ukłonił się jej tak zimno i z taką dumą arystokratyczną, jak to zwykła była czynić Joanna względem niemiłych jej osób, a odwróciwszy się od niej, znikł za murem.

Joanna skamieniała. Powoli wracała do przytomności i do pojęcia tego, co tu zaszło. Zawstydzona, złajana, odepchnięta, ona! Jenny Forest! i przez kogo? przez tego nędznego skrybenta, na którego do tej chwili patrzyła z góry, lekceważąco, litościwie, prawie z pogardą. Z pogardą — co prawda — dawno się już skończyło; ale któż mógł się spodziewać tylu zdolności i takiej siły charakteru po tym człowieku, który był w stosunkach codziennych tak nieśmiałym, nieporadnym i niepraktycznym! Ktoby był przypuścił, że tak nagle potrafi zrzucić z siebie krępujące go dotąd więzy, że ta szara gąsienica, zagrzebana w pyle książkowym, przemieni się w jednej chwili w motyla tysiącem barw olśniewającego! Jenny mimo całej irytacji doświadczała pewnego zadowolenia, że właśnie przed nią tak świetnie zabłysnął, że tylko ona jedna poznała go tak wszechstronnie. To jednak nie zmniejszało wcale jej gniewu i nie przyprowadziło jej do upamiętania i uznania, jak okropnie drażniła tego człowieka, i jak słusznie została ukarana za swoje niegodne postępowanie. Jedno przynajmniej udało się profesorowi, czego nikt dotąd nie dokazał. Zimna, pogardliwa obojętność, którą dotąd wszystkich obdarzała, znikła zupełnie, a natomiast ogarnął ją szał dziki, namiętny! O! jak ona go teraz nienawidziła z całej duszy, z całą energią, na jaką zdobyć się mogła.

Ten człowiek śmiał ją tak upokorzyć, starł na proch jej dumę, znalazła w nim pierwszy raz w życiu mistrza swego! Najprzód wywarła swoję zemstę na kosztownej chusteczce batystowej. Piękne koronki leżały na ziemi w kawałki poszarpane; następnie podeptała z gniewem i oburzeniem największem gałązkę bluszczu, która na jej sukni spoczywała. Zaczęło się ściemniać a Joanna miała dobrą milę do domu. Ale co ją to wszystko obchodziło: noc, droga tak daleka, jej samotność, przy tem wspomnieniu, które jak wąż jadowity wpiło się w jej mózg i serce! Porwała z ziemi kapelusz:

— „Zapewniam panią, że będę się odtąd starał najusilniej, żeby nasze drogi nie zeszły się więcej...“ O! panie Servigny! możesz być pewnym, że ja również o to starać się będę — więc możemy pocieszyć się oboje błogą nadzieją, że ta chwila była między nami pożegnaniem na zawsze!

Jenny podniosła głowę z takim wyrazem gniewu i dumy, jakby chciała świat cały do walki wyzwać, i zbiegła szybkim krokiem w dolinę, na której coraz głębsze cienie zapadały, podczas gdy chmury gromadzące się na widnokręgu okrywały powoli pagórek, szczyty ruin i to miejsce, gdzie dwa młode serca tak już blisko były siebie, a rozeszły się w takiej nienawiści nieubłaganej!

IV.

W dni kilka później szli dwaj mężczyźni od rzeki, gdzie statki wyładowują, zmierzając w ulicę, na której stał dom państwa Etienne.

— Nie lećże pan tak na miły Bóg! — wołał starszy kwaśnym tonem. Nie mogę w ten upał zdążyć za panem. Ciekawym, co sobie pomyśli miss Jenny, jeżeli stoi w oknie przypadkiem, jak zobaczy pana biegnącego ulicą w sposób tak niezwykły?

Uwaga, którąby w każdym innym razie wydała się zbyteczną w podobnym stosunku, tu okazała się stosowną, gdyż Alison w tej chwili zwolnił, jakby istotnie popełnił coś nieprzyzwoitego, ale za to wzrokiem gonił po domach niecierpliwie, to znowu zwracał go pytająco na swego towarzysza.

— A to niespodzianka! — ciągnął dalej Atkins rozmowę — byliśmy przekonani żeś pan dotąd w Londynie, a ztamtąd wybierzesz się prosto do Hamburga. Wszak tak stało w pańskim planie?

— Tak! zwidzić przed Francją, Niemcy, byłoby mi to czas zabrało aż do jesieni, dowiedziawszy się jednak że miss Forest bawi od kilku tygodni we Francji, zmieniłem plan podróży, żeby ją prędzej zobaczyć i zabawić w mieście L. dni kilka. Co mnie dziwi niesłychanie, to żeś pan się zdecydował towarzyszyć jej do Francji?

— Dla tego, myślisz pan, żem tak zawsze na nią wygadywał? To i w tem miejscu stanowi najmilsze moje zatrudnienie. Jest to jeszcze rzecz najpraktyczniejsza krytykować wszystko w kraju, gdzie wszystko do góry nogami przewrócone. Byłem dotąd jakimś malowanym opiekunem miss Jenny, która wprawdzie jest zawsze i wszędzie samowładną i samowolną, bynajmniej opieki

nie potrzebującą i tejże nie znoszącą; czego — mówiąc nawiasem, dowiesz się pan w czasie i doświadczysz sam na sobie; otóż wracając do rzeczy, nie mogłem przecież jako opiekun puścić jej samej w podróż tak daleką. Zresztą, miałem ja po uszy tych francuskich blagierów w Ameryce, jestem więc mocno zadowolony, że ich przy tej sposobności poznam dokładniej w ich własnym, tyle sławnym kraju! — Spodziewam się od pana wdzięczności żem był tak wytrwałym towarzyszem jego narzeczonej.

— Ależ niezawodnie! — odparł Allison dość chłodno — szczęście jednak, że interesa majątkowe miss Jenny pozwoliły na tak długą pana nieobecność.

Sarkazm ostrzejszy niż zwyczajnie wykrzywił twarz Atkinsa:

— O! bądź pan zupełnie spokojny! przyszły twój majątek jest w dobrych rękach.

— Nie pytam przecież w moim interesie — rzekł Alison podrażniony.

— Tylko z troskliwości o dobro miss Jenny, która za rok niespełna będzie pańską żoną. Czegoż bo się pan zaraz obrażasz? Całkiem naturalnie że to pana obchodzi i muszę ci dać niektóre objaśnienia. Wiadomo panu, że p. Forest, już na parę lat przed śmiercią, starał się pozbywać majątków ziemskich przemieniając je na papiery. Te są złożone w miejscu najpewniejszem. Inne interesa załatwiłem do dwóch miesięcy po jego śmierci. Dobra pozostałe, są, jak mówiłem w dobrych rękach — nie jestem ja tym człowiekiem, mój panie Alison, któryby mógł narazić na szwank majątek cudzy, oddany mu pod opiekę, dla przyjemności podróżowania po świecie!

Harry choć udawał obrażonego, słuchał jednak całego wywodu z uwagą i zadowoleniem; dowiedziawszy się ile mógł, zmienił prędko przedmiot rozmowy:

— I jakże panu podoba się Francja?

— At! nie ma co mówić o tem. A już tutaj w mądrem mieście L. to wcale niedowytrzymania! Miss Jenny, mogę pana zapewnić, przynosi woli ojca wielką ofiarę tym pobytem. Opuściłem ją na śmierć znudzoną sztywnością, kastowemi przesądami i tysiącznemi wymogami towarzystwa tutejszego. I ona jest wplątana w to koło, z którego mimo jej silnej woli, nie zawsze wie którędy wyjść by można. Ja poprostu ztąd uciekłem, by trochę swobodniej odetchnąć.

— Więc w tym celu bawiłeś pan w Brest?

— Miałem też w tém mieście trochę interesów.

— Czy chcesz pan spożytkować swoją podróż i zawiązać z Francją jakie stosunki handlowe? — spytał Alison zaciekawiony.

— Idzie tu o dawny dług pana Forest, który staraliśmy się nie raz umorzyć a zawsze nadaremnie.

— Czy to suma znaczna?

— Dosyć.

— I masz pan nadzieję teraz go zaspokoić?

— Tak, cokolwiek.

— To bardzo szczęśliwie! — zawołał Alison z żywością — zawsze to korzystnie dla człowieka, jak pan akuratnego w interesach, módz pozbyć się podobnych zastarzałych ciężarów.

— Myślisz pan? — odparł Atkins złośliwie. — To zależy od okoliczności. W tym razie mogło by to nas kosztować około pół miljona.

Na szczęście Alison nie dosłyszał tych słów, pół głosem wymówionych, bo w tej chwili cała jego uwaga była zwrócona na okna domu, przed którym stanął jego towarzysz, i za dzwonek pociągnął. Jakób drzwi otworzył, spodziewając się co chwila swego pana, a spostrzegłszy Amerykanina, zrobił minę nader kwaśną. P. Atkins, nigdy wprawdzie nie nadużywał gościnności państwa Etienne i mieszkał zawsze w hotelu, jednakże bywał codzień w domu, gdzie przebywała jego pupilka.

— Miss Forest w domu?

— Nie masz jej.

— A państwo Etienne?

— Wyszli.

— Wkrótce przecież powrócą?

— Lada chwila.

— Wolimy zaczekać tu w ogrodzie, niżeli na to gorąco wracać do hotelu — odezwał się Atkins — chodź pan za mną. Skoro państwo powrócą, powiesz im, że w ogrodzie na nich czekamy. Rozumiesz?

Po tych słowach krótkich, rozkazujących i skinieniu ręką protekcjonalnie, oddalili się panowie w głąb ogrodu. Jakób patrzał za nimi z widoczną złością.

— No, dzięki Bogu! już znowu stary powrócił, i jeszcze drugiego z sobą przyprowadził! Szkuta cała rozbiła się z tymi Amerykanami. Dalej, dalej, gotowi nas z domu własnego wypędzić. Bodaj by ich! — reszta pobożnego życzenia, które Jakóbek wyprawiał pod adresem znienawidzonych Amerykanów, została zagłuszona łoskotem drzwi z taką siłą pchniętych przez Jakóbka, że aż w całym domu szyby zadźwięczały.

— A temu co się stało? — spytał Alison zdziwiony — w szczególnym tonie dawał nam odpowiedzi.

Atkins w głos się roześmiał.

— Zwyczajnie niedźwiedź bretoński. Siły olbrzymiej, ciężki, niezgrabny! Jednak w tej wielkiej a tak małą inteligencją obdarzonej głowie pokutuje coś, na kształt przesądów i niechęci do pewnych narodowości. Ja przynajmniej nie mogę się pochwalić bym kiedy widział go innego, jak zaburmuszonego straszliwie! Zresztą ma to być chłopak spokojny, poczciwy, tylko głupi niesłychanie.

— Służy u państwa Etienne?

— Właściwie nie, służy on u niejakiego . . .

— Ach! panie Servigny! — tu zwrócił się nagle Atkins ku bramie od ogrodu — jakżem uszczęśliwiony, że mam znowu przyjemność witać pana!

Profesor, który właśnie powracał z uniwersytetu i jak zwykle szedł przez ogród, zbliżył się ukłon oddając.

— Jakże zdrowie? — pytał dalej Atkins od niechcenia. Jakoś pan pomizerniałeś! To z tej wielkiej uczoności! Pozwolisz pan przedstawić sobie młodego przyjaciela i ziomka, pan Alison... Pan Servigny, profesor tutejszego uniwersytetu i lokator państwa Etienne.

Ziomek! lokator! Te dwa wyrazy brzmiały tak niewinnie, ogólnikowo, Atkins nie położył na nich najmniejszego nacisku, zdawało się jednak, że uderzyły niemile obydwóch panów. Alison spojrzał swemi czarnemi oczyma ostro i badawczo na profesora, oczy Servignego zalśniły blaskiem gorączkowym wpatrując się w nieznajomego z pewnem przykrém zdziwieniem, lecz nie mniej energicznie i prawie wyzywająco. Coś ich wzajemnie odtrąciło, jakby przeczucie złowrogie, że ich stosunki późniejsze wytworzą się nieprzyjaźnie dla stron obu. Ukłonili się sobie tak zimno, i tak z daleka, jakby każdy z nich miał przed sobą niewidzialną jakąś przeszkodę, która na zbliżenie nie pozwala.

Atkins usiłował daremnie, ze zwykłą sobie gadatliwością, popchnąć rozmowę na tory swobodniejsze. Alison potakiwał wszystkiemu co się mówiło, grzecznie, ale coraz zimniej; profesor zaś, bardziej milczący niżeli zwyczajnie, skorzystał z pierwszej lepszej sposobności, żeby uciec od tej pogadanki w ogrodzie do swego pomieszkania. Po kilku minutach, pożegnał grzecznie staruszka, a młodszemu Amerykaninowi oddał zaledwie lekki, nader zimny ukłon.

— Któż to znowu ten pan Servigny? — spytał Alison, gdy już był pewnym że go tamten usłyszeć nie może.

— Przedstawiłem go przecież panu. Profesor nader rozumny! światło olśniewające! jeden z tych uczonych, którzy są w stanie pół wieku szperać w starych, zapleśniałych pargaminach, póki sami na mumję nie wyschną! Pyszny egzemplarz, ale w życiu codziennem człowiek najniepraktyczniejszy, najnieudolniejszy! Sąd ten, zupełnie uzasadniony, wydała o nim miss Jenny, pierwszego zaraz dnia swego tu przybycia. Niemiły wypadek na drodze zmusił ją przyjąć tego jegomości na rycerza, opiekuna i przewodnika, z którego to zadania wywiązał się w sposób najkomiczniejszy.

Alison patrzący dotąd za profesorem, zwrócił się nagle.

— Miss Forest? — zapytał gorączkowo — spodziewam się, że nie był jej jedynym towarzyszem. Przecież pan musiałeś być z nimi? (C. d. n.)

Dwie miłości.

NOWELKA.

Promienie słoneczne odbijały się jaskrawo od śniegu, który leżał na dachach i ulicach; drzewa wyglądały cudownie jak markizy upudrowane i tysiącem brylantów osypane; szyby w oknach, najmniejszy załom w pysznych kamienicach, które wielki rynek miasta L* zapełniały, lśnił i połyskiwał jakby kryształem ozdobiony.

Pomiędzy pańskiemi pałacami znajdowały się i mniejsze domki, a najskromniejszy z nich należał do pani Marty, która w nim mieszkała z córką jedynaczką Emilką. Marta była biedną, ale uczciwą i pracowitą; widziano ją wiecznie nad jeziorem piorącą bieliznę lub w domu przy żelazku. Obecnie jezioro zamarzło i służyło jedynie bogatym za rozrywkę; wiecznie też było pokryte parami różnobarwnemi, które ślizgawką się zabawiały; za to biedne praczki musiały przenieść się do domów i dźwigać jeszcze w dodatku wodę na plecach, by w niej bieliznę wyprać mogły.

W małej izdebce było, jak to mówią, ubogo ale chędogo. Ład i czystość wzorowa stanowiły powab jej jedyny, a było jednak w tym kąciku dziwnie uroczo, czuło się, że wszystko tu układała ręka delikatniejsza, niż gruba, spracowana dłoń Marty poczciwej.

Bo też Milka w niczem nie była do matki podobną. Matka tęga, zamaszysta, pełna i czerwona na twarzy, o rysach grubych i niekształtnych, była typem kobiet ciężko pracujących; natomiast Milka, wiotka jak palma Wschodu, biała i przeźroczysta, jak kwiat nenufaru, o rączkach i nóżkach maleńkich, jak u dziecka, z oczami dużemi, z czołem pięknem, jasnem, zadumanem, dziwnie odbijała od całego otoczenia, jakby mieszkanka innych lepszych światów, rzucona za karę na padół płaczu i nędzy!

Zkąd wzięło się to piękne, wiecznie zamyślone dziecko, o kształtach tak arystokratycznych, o uczuciach tak delikatnych w ubogim domku pani Marty? Była to tajemnica między nią a Bogiem — my też tej zasłony nie uchylimy. To tylko dodać musimy, że Marta córkę swą ubóstwiała i sama za coś wyższego od siebie uważała. Nie pozwolia jej rączkom dotknąć się grubej roboty, nie pozwoliła nóżkom stąpić bez obuwia; pracowała za trzy, byle dziecko miało wygodę, byle się czegoś nauczyło.

Milka była nad wyraz bystrą i pojętną, wykształciła się w krótkim czasie na doskonałą modystkę i robiła kwiaty, ale tak cudnie, że zdawały się wykwitać na nowo pod jej różowemi, cieńkiemi paluszkami. Jedynie brak woni zdradzał w nich brak życia — zdradzał, że były sztuczne.

Pani Marta układała właśnie do dużego kosza bieliznę cieńkości pajęczej i śnieżnej białości, a wzrok jej od czasu do czasu spoczywał na córce z widocznym smutkiem i troską. Milka siedziała przy oknie, na dużym fotelu, umyślnie przez matkę dla niej kupionym, bladą twarzyczkę okrywał rumieniec gorączkowy, ciemne jej źrenice rozwarte szeroko wpatrywały się niespokojnie w okna pałacu prezydenta miasta, który był naprzeciw domku małego, a ręce zwykle tak czynne, były złożone na piersiach jakby do modlitwy, lub jakby chciały wstrzymać bicie serca zanadto gwałtowne.

Zegar na wieży ratuszowej i zegar z kukułką w biednem Marty mieszkanku wybiły równocześnie drugą godzinę. Brama pałacu prezydenta otwarła się szeroko, a w oknach ukazali się prezydent z żoną i piękną, młodą blondynką, w toalecie aż do przesady wyszukanej, z głową pełną koków, loków, jak magazyn fryzjerski.

— Mamo! mamo! — zagadało teraz dziewczę, odwracając się od okna i wpatrując się przenikliwie w twarz Marty swemi dużemi, tęsknemi oczyma. — Co tam się dzieje u państwa prezydentów, i panna Ida jest z niemi, czy oni na kogo czekają?

— A jużci czekają na jedynaka ukochanego, który dziś ze swoim szwadronem przychodzi do naszego miasta. Wczoraj, jak odnosiłam kosz bielizny, mówiła mi to

„panna“ pani prezydentowej — awansował słyszę na rotmistrza, taki młody! Nie dziwota, syn prezydenta.

— I mama mi nic nie mówiła, że Rudolf przyjeżdża! — zawołała Milka z wymówką.

— At! — Marta machnęła ręką — po co ci miałam mówić! Co nas to obchodzi! Dopóki to było małe chłopię, przychodziło nieraz do naszej izdebki bawić się z tobą i zjadać podpłomyki na żarze pieczone — ale teraz! — Toć pewnie dumny, jak tatuś i mamuńcia... A dopieroż ta panna Ida, to ziółko! patrzy na człowieka, jakby nie na boskie stworzenie. A wyciupierzona, strach!

— Dlaczegoż i ona także dziś u prezydentów? — spytała córka ponownie.

— A wszak ci to narzeczona Rudolfa. Panicz słyszę długów narobił, tatko płacić nie chce, toć mu ta bogata bankierówna w sam czas przychodzi. Pociechy z niej wielkiej mieć nie będzie, bo ona tylko siebie kochać umie.

— Biedny Rudolf! — szepnęło dziewczę. Rumieniec znikł, bladą twarzyczkę schyliła ku piersiom i silniej dłonią serce przycisnęła.

W tej chwili ulica do rynku prowadząca zatętniła, odezwały się trąby wojskowe i muzyka witająca nowo przybyłych. Tłumy ludu cisnąć się zaczęły i rynek zapełniły. Wkrótce ukazali się huzarzy, a na ich czele dorodny młodzian, zaledwie w wieku lat trzydziestu, siedział jak wrosły na pięknym, pełnej krwi arabie, który czując, że tyle oczu nań patrzy, chciał się też popisać zręcznemi skokami i lansadami. O krok od pałacu prezydenta rotmistrz skinął pałaszem na pierwszego oficera, oddając mu dowództwo, sam zaś lekko zeskoczył na ziemię, rzucając cugle ordynansowi.

Pierwsza znalazła się w jego objęciach panna Ida; nie tyle jednak było w niej czułości i uciechy na widok narzeczonego, ile teatralnej, wymuszonej gracji i pewnej ostrożności, żeby w tym uścisku nie ucierpiała, broń Boże! koafiura misterna i toaleta wyszukana.

Młode dziewczę w oknie zamilkło; znowu rumieniec na chwilę się pokazał, matka zaś kończyła swoją robotę.

— Idę teraz — przemówiła Marta — długo mnie nie będzie, a tyś dziś bledsza niż zwykle, taka rozgorączkowana! Może poproszę sąsiadkę, żeby przyszła tymczasem do ciebie dziecinko. — I pocałowała córkę w jasne czoło, dużym szalem całą ją otulając.

— Nie potrzeba, mateczko, nie potrzeba! Ta muzyka taka hałaśliwa, trochę mię rozstroiła — już przeszło. Będę kończyła garnitur na dzisiejszy bal dla panny Idy, lada chwila przyszle po niego.

— Tylko się nie męcz zanadto, pieszczotko moja! — rzekła Marta i jeszcze raz córkę namiętnie do serca przycisnęła.

Po odejściu matki, Emilka wzięła się szybko do roboty, układając prześliczny wieniec z róż białych i pąsowej werweny. Bukiety już gotowe w pudełku leżały.

Wkrótce wieniec był gotów, taki lekki, tak artystycznie ułożony, aż się samej Emilce podobał.

— Nie wiem, czy jej będzie w nim dobrze — szepnęło dziewczę. — Ponsowy kolor niekoniecznie do twarzy takiej, trochę żółtawej blondynce. Uparła się koniecznie... Jak by mnie też w nim było?

I przystąpiła do zwierciadła, na ścianie wiszącego, układając z niewinną kokieterją wieniec na swojej kształtnej główce.

Od jej czarnych, jak krucze skrzydła włosów, wieniec prześlicznie odbijał; sama uśmiechnęła się do zwierciadła, jakby mu dziękując, że się w niem tak ładną widzi.

W tem do drzwi z lekka zapukano. Emilka czemprędzej na stół postawiła lampę, którą sobie zwierciadło oświetlała. Chciała również prędko zdjąć wieniec z głowy, ale jemu widocznie żal było rozłączyć się z tą piękną główką, dla której zdawał się stworzony; gałązki nie które powplątywały się we włosy i ani rusz zdjąć go nie mogła. Na powtórne zapukanie odpowiedziała głosem drżącym: „proszę wejść...“ i ujrzała na progu Rudolfa.

Emilka stanęła jak wryta! Drżąca, przerażona... Jednak oczu od niego oderwać nie mogła. Tak dawno go nie widziała! Jakże pięknym, jak majestatycznym jej się wydał! Serce biło jej w łonie, jakby mu tam naraz za ciasno się zrobiło, oczy mgłą zachodziły... A i jego wzrok z zadowoleniem spoczął na dawnej towarzyszce lat dziecięcych. Tak była uroczą w swojem zmięszaniu! Uśmiech zaigrał na jego pełnych koralowych ustach, ozdobionych ciemnym wąsikiem; przypisał jej zmięszanie jedynie temu, że ją wyłapał z wieńcem na głowie, który zrobiła dla Idy.

— Przepraszam, że tak późno przychodzę — przemówił wreszcie łagodnie. — Narzeczona moja tak niespokojna, czy kwiaty na czas będą, że mnie samego po nie wyprawiła. Czyś mnie nie poznała Emilko? Widzę, że wieniec gotów i bardzo ci w nim do twarzy. Czegoż tak drżysz cała? Dobrze, że już gotów, bo by tam Ida sceny wyrabiała, gdybym go nie przyniósł. Przecież to nie zbrodnia żeś chciała widzieć, jak ci się wyda na głowie. Poczekaj, pomogę ci wyplątać go z twoich pięknych włosów.

I pochylił się nad nią wyjmując ostrożnie gałązkę po gałązce, oddech jego muskał jej czoło... nie ręczymy, czy mimo narzeczonej, nie zabawił trochę dłużej niż potrzeba wymagała, przy tem miłem zajęciu. Wreszcie wieniec cały był w jego rękach.

— Pamiętasz jeszcze Emilko nasze zabawy w ogródku? a owe wyborne podpłomyki twojej matki! Smakowały mi lepiej, niż marcypany u rodziców.

— Czy pamiętam? — rzekła ze łzami Emilka — pan byłeś zawsze dla mnie tak dobrym! Raz o mało sam życiem nie przypłaciłeś, mnie broniąc od napaści byka rozjuszonego, który wprost na nas leciał. Z cienką laseczką rzuciłeś się na niego mnie zasłaniając, gdy przecie ludzie nadbiegli. O! byłeś zawsze jak lew odważnym!

Rudolf znowu się uśmiechnął, a biorąc w obie dłonie małą rączkę Emilki, rzekł jeszcze serdeczniej:

— To znaczy dobre, poczciwe serduszko, że takiej drobnostki do dziś nie zapomniałaś. Radbym tu z tobą dłużej gawędził — już to pod warunkiem, że mnie nie będziesz „panem“ tytułować, tylko po dawnemu nazwiesz „Rudolfem“ — ale Ida gdzieś tam usycha z niecierpliwości. Upakujże wieniec... tak, dobrze! Kiedyś namówię

Idę i przyjdziemy po dawnemu do pani Marty na przysmaczki. Ida bo się na nie skrzywi napewno! Ale co ja, to sobie podjem porządnie! Więc do zobaczenia Emilko! — Pociągnął ją lekko ku sobie i w czoło po bratersku pocałował.

(Dok. nast.)

NAJNOWSZE PODRÓŻE STANLEY'A I CAMERON'A.

ZE WSCHODU NA ZACHÓD AFRYKI.

(C. d.) Arabowie z Unjanjembe toczyli wojnę z Mirambo, rodzajem feodalnego rabusia, który uzurpował sobie naczelnictwo nad sąsiedniem plemieniem. Ngowe i drogę do jeziora Tannganjika i Udszidszi zamknął w zupełności.

W Unjanjembe zastał Stanley drugą karawanę, która wiozła zapasy i wysłanego przez Dra. Kirka 1. listopada 1870 żołnierza Kaif Halek, który listy Livingstonowi miał doręczyć. I ci z tegoż samego powodu, co Stanley, znaleźli przeszkodę w dalszej drodze swojej.

Stanley spodziewał się od wojennego hufca, który Arabowie i Wanyamuezi, w wspólnej sile 2,150 ludzi przeciwko burzycielowi spokoju w pole wyprowadzili, iż usunie te przeszkody. Przyłączył się więc do tych ostatnich i posunął się z nimi o kilka dni drogi dalej ku Zachodowi. Mowca pokolenia Wanyamuezi ucieszył żołnierzy przed rozpoczęciem boju następującą przemową (Manneno:)

„Słowa!... Słowa!... Słowa!... Słuchajcie mnie wy synowie Mkaziwy, wy dzieci Wanyamuezi! Droga przed wami, złodzieje leśni oczekują was. O tak, to są złodzieje, oni odcinają wasze karawany, kradną waszą kość słoniową, mordują wasze kobiety! Patrzcie! Arabowie ciągną także z wami; El Wali, sułtan arabski i biały człowiek także ciągnie z wami na wojnę. Idźcie! Syn Mkaziwy jest z wami, bijcie, zabijajcie, rabujcie, niewolników, kradnijcie materje, zabierajcie bydło, zabijajcie, jedzcie, pijcie i rozkoszujcie!... Idźcie!“

Tej zuchwałej przemowie odpowiedziały rozgłośne pochwalne okrzyki; bramy wsi otwarto — i błękitnie, czerwono i biało ubrani żołnierze poskoczyli, jak gimnastycy naprzód, strzelając bez przestanku z fuzyj, aby tą wrzawą przydać sobie samym odwagi — albo trwogę w sercach tych wzbudzić, którzy nas w silnem oparkanieniu w Simbizo oczekiwali.

4. września wzięto szturmem powyżej wymienioną wieś Miramba i zdawało się, ponieważ i inne oszańcowane miejscowości z równie szczęśliwem powodzeniem ubiedz się dało, że to przedsięwzięcie bardzo dobrze się rozwija. We dwa dni później Arabowie pozbywszy się przy rabunku zdobytej wsi wszelkiej ostrożności, ponieśli zupełną klęskę, która wielu z pomiędzy nich i wielu z ludzi Stanleya o stratę życia przyprawiła.

Stanley leżał tego dnia w gorączce i byłby niewątpliwie zginął, gdyby nie wierność arabskiego chłopca Selima, który sam jeden przy nim dotrzymał, w chwili gdy wszystko w panicznym strachu pierzchało.

Przy jego pomocy, udało się zatrzymać dwóch z ludzi należących do karawany i Anglika Shaw'a, bardzo mało troszczącego się o los swego pana — osiodłać osła dla Stanley'a i w smutnym odwrocie dobijać się znowu do Unjanjembe.

Droga więc do jeziora Tanganjika prowadząca była w istocie zamkniętą, i przebicie się przez wschodnią część Unjamuezi i Uwinzy stało się niemożliwszem niż kiedykolwiek. Nie wspominając już bowiem o tem, że potęga Miramby okazała się prawdziwie groźną — jasnem było, iż po doznanej klęsce żaden krajowiec się namowić niczem nie da do podobnego przedsięwzięcia.

Wkrótce nawet potem uderzył Mirambo — ten czarny Bonaparte, jak go Stanley nazywa — drugi raz na Arabów, których znowu pobił i Taborę, ich stolicę w Unjanjembe puścił z dymem. W dwa tygodnie potem Arabowie wzięli odwet i wyparli Mirambę ze zdobytej przezeń wioski. O przywróceniu handlowej komunikacji z jeziorem Tanganjika, wśród tego wiecznego zamętu nie mogło być tymczasem ani mowy.

Potrzeba było niepospolitej siły woli i zdecydowania się na wszystko, żeby wśród takich okoliczności podróż ciągnąć dalej, wierzyć w jej powodzenie jeszcze, zamiast uważać raczej wszelką możliwość dokonania jej za zupełnie wyczerpaną.

Kto przypomni sobie z opisów podróży po Afryce, jak trudno pchnąć nieraz krajowych tragarzy naprzód, nawet po znanych i bezpiecznych drogach — jaki nieprzełamany wstręt okazują do wszystkiego, co się obcym krajem nazywa; ten pojmie ile plan tak naturalny w innych okolicznościach, jak obejście kraju, gdy wprost przezeń żadną miarą przejść nie można — musiał kosztować trudu w danym przypadku.

Opis rozpaczliwego oczekiwania w Unjanjembe — nieskończonych trudności w zwerbowaniu ludzi i utrzymaniu następnie tych zwerbowanych w karności, wpośród złowieszczych wróżb ludności arabskiej, gaśnięcia każdego promyka nowych nadziei, a pomimo tego wszystkiego, ciągłego dążenia i dobijania się do mety, określonej temi Benneta słowy „musisz znaleźć Livingstone'a;“ — słowem, wszystko to, tworzy jeden z najbardziej interesujących i najwięcej wywierających wrażenia epizodów Stanley'owego sprawozdania z tej podróży.

Dwudziestego Września wyszła wreszcie, w części z pokolenia Wadszidszi nowo zarekrutowana karawana, złożona z 54 ludzi, z 1000 doti materji i 6 worków pereł. W ciągu pierwszego dnia podróży zaszły znowu liczne dezercje, tak, że Stanley musiał wreszcie uciec się do praktycznego i podłem wiarołomstwem Afrykanów aż nadto usprawiedliwionego środka — a mianowicie sprowadził sobie z Unjanjembe łańcuch dla niewolników i opornych, i za próby nieposłuszeństwa zakuciem w niego karał.

Anglik Shaw słabnął coraz bardziej, więcej z hypochondrji i przygnębienia wszystkiemi znojami i brakami podróży w dzikim kraju, niż z rzeczywistej choroby. Stanley spostrzegł, że Shaw się staje więcej przeszkadzającym w podróży ciężarem, niż pomocą — i przychylił

się wreszcie do bezustannych próśb jego o dozwolenie mu powrotu do Udszidszi. Na pożegnanie jednak zrobił mu uwagę, że ta żądza powrotu i zapadnięcie w bezradność — znaczą tyle co śmierć. A nie był fałszywym prorokiem.

I oto znalazł się teraz korespondent „New York Herald'a“ sam tylko ze swoimi czarnymi.

Droga wiodła karawanę ku południowi, przez rzekę Gombe, główny przytok rzeki Malagarazi, która w pobliżu Udszidszi wpada w jezioro Tanganjika. Z tamtej strony tego wodnego działu, prawie o $1\frac{1}{2}$ stopnia szerokości na południe od Unjanjembe, mogli znowu posunąć się naprzód w zachodnim kierunku, przez Utakame, Ukonongo, do rzeki Mituby, za którą zaraz okolica Ukawendi się zaczyna. W tem miejscu Stanley miał jeszcze tylko 10 mil drogi do jeziora Tanganjika; odsunął się jednak w kierunku więcej południowym od Udszidszi — i widział się zmuszonym najprzód dokończyć wielkiego półłuku, który w Unjanjembe rozpoczął — to jest ku północy się zwrócić.

W pierwszych dniach Listopada, ekspedycja Stanleya znajdowała się już w Uwinza i przeszła przez rzekę Malagarazi. Tu spotkał się Stanley z karawaną powracającą, złożoną z krajowców pokolenia Waguhha, i od nich powziął wiadomość, iż w Udszidszi przebywa biały człowiek, z siwą brodą, który przybył tam z kraju Manjuema, a już raz dawniej nad jeziorem Tanganjika przebywał. Był to Livingstone!

Posłuchajmy samego Stanleya, co myślał, usłyszawszy tę wieść...

„Hurrah! — zawołałem w duchu. — Musi to być Livingstone — nie podobna, żeby to był ktoś inny — lecz kto wie, byłoby jednak możebnem — ktoś z zachodniego wybrzeża — albo i Baker. Ale Baker nie ma bynajmniej siwej brody! Teraz trzeba się pospieszyć, skoro bowiem Livingstone usłyszy, że się zbliżamy, uciec może daleko przed nami.

Myśląc to, byłem w gwałtownem poruszeniu i pałałem żądzą przekonania się, czy to w istocie Livingstone. Boże udziel mi cierpliwości! Pragnąłem, żeby tam kolej prowadziła, lub żebym mógł dostać koni w tym kraju. Końmi mógłbym dotrzeć do Udszidszi w dwunastu godzinach.“

Dzielny Amerykanin na wieść o Livingstonie, czuł się ożywionym nowym zapałem i nowemi siłami do czynu, i potrafił te uczucia przelać w całą swoją karawanę. Wszyscy przyrzekli bez dalszego wahania i spoczynku dalej maszerować, aż pokąd nie osiągną celu.

Ale teraz wystąpiły nowe trudności; chciwi są łupu despoci w kraju Uhha, z których każdy wymaga haraczu po 40, 60, 80 doti tak, że Stanley, przybywający w celu dopomożenia potrzebom Livingstone'a, obawiać się musiał, że bez jednego metra materji — co znaczy w przekładzie na nasze pojęcia: bez grosza — do Udszidzi przybędzie.

Szczęśliwym jednak wypadkiem udało mu się dostać przewodnika, który przeprowadził całą karawanę uciążliwemi drogami, przez dżungle (bagniska przyrzeczne porosłe trzciną bambusową dopływów rzeki Malagarazi), w części i nocą, ominąwszy żądające haraczu plemiona — do graniczącego z niemi kraju Ukaranga. 10. Listopada przypadł 236 dzień od wymarszu z Bagamojo, a 51. od opuszczenia Unjanjembe.

Po dwugodzinnym marszu dosięgła Stanley'a karawana grzebienia wyżyny, który jej dotychczas widok ku zachodowi zasłaniał.

Nagle coś srebrzystym blaskiem zajaśniało przez gałęzie drzew i za chwilę rozpościerało się przed szczęśliwym, zachwyconym poszukiwaczem Livingstone'a jezioro Tanganjika w całym swoim przepychu; lśniąca płaszczyzna na dalekim rąbku widokręgu obramiona eterycznie błękitnemi wyżynami Ugoma i Ukambara.

— Czy twoi panowie ujrzeli z tego punktu to jezioro Bombagu? — spytał Stanley jednego z ludzi, którzy już niegdyś Speke'mu i Burton'owi towarzyszyli.

Nie pamiętam już, ale zdaje mi się że gdzieś w pobliżu tego miejsca.

— Biedni ludzie — rzekł Stanley — jeden był na pół bezwładny, drugi na pół ślepy, jak mi Sir Roderick Murchison opowiadał otrzymawszy w swoim czasie wiadomość o przybyciu Speke'go i Burton'a do jeziora Taganjika.

A ja? dodaje Stanley od siebie — gdybym z radości i wzruszenia był także napół bezwładny i napół ślepy; sądzę, iż w tej ważnej chwili „wziąłbym łoże moje i poszedłbym dalej. Na szczęście jednak byłem zdrów zupełnie, od Unjanjembe ani przez jeden dzień nie chorowałem.“

(C. d n.)

Przyszłość ziemi.

Planeta, na którym żyjemy, przechodzi niemal te same koleje co ludzie, którzy go zamieszkują. Jak dla człowieka, tak i dla niego stan błogiego spoczynku jest stanem zdrowia. Ilekroć człowiek poczuje swój żołądek, może być pewnym, że w jego organach trawienia coś się popsuło. Dolega mu ząb, z pewnością wkrótce dobrze go będzie bolał; zawadza mu ręka lub noga, bez wątpienia reumatyzm wkradł się w jego kości. Ziemia jest także jakby dużym tworem zwierzęcym: i ona żyje. Fluidum, potrzebne jej do życia, płynie w jej łonie, każda jej część żyje, ma swoje instynkta i swoją wolę aż do pyłków najdrobniejszych, które w miarę swoich sympatyj lub antypatyj bądź się przyciągają, bądź odtrącają. Góry są narzędziami oddechowemi ziemi, metale zaś są chorobliwemi produktami jej organizmu, skutkiem czego wydają najczęściej woń niemiłą. Cierpienia ziemi, spowodowane zbytniem rozszerzaniem się gazów, objawiają się na zewnątrz wybuchem wulkanów, a na wewnątrz hukiem, który każdy wybuch poprzedza. Wszystkie te zjawiska mają jednak swoje źródło w ogniu środkowym, skorupa bowiem ziemi jest jakby ścianą kotła, która trzęsie się pod pary naciskiem.

Nim będziemy mówili o chorobach i śmierci matki-ziemi, musimy wpierw wspomnieć o grubości jej skorupy zewnętrznej w stosunku do masy płynnej, która się w jej

wnętrzu znajduje. Wiadomą jest rzeczą, że temperatura ziemi na 50 stóp w głąb jest niezmienna, ale za to na każde 50 stóp głębiej powiększa się o jeden stopień gorąca, licząc według Fahrenheita. Nie ulega wątpliwości, że gorąco musi się wzmagać w stosunku progresji geometrycznej, ale ponieważ do wnętrza ziemi nikt się jeszcze nie dostał i nikt się nigdy nie dostanie, przeto musimy trzymać się prawd już zbadanych i wątpliwości nieulegających. Jeśli więc badania dotychczasowe uważać będziemy jako niezmienne, to w takim razie temperatura ziemi wzmaga się jak następuje: Na głębokość 7299 stóp gotuje się woda; na 25.000 stóp topi się ołów; na 34.000 metrów topi się złoto; na 120.000 metrów topi się lane żelazo, a na 160.000 metrów panuje taka temperatura, że w niej musi się roztopić platyna, porcelana, w ogóle każda substancja, opierająca się największemu gorącu. Ponieważ średnica ziemi, licząc od równika w głąb, wynosi mniej więcej 14,850.000 metrów, przeto zdaje nam się, żeśmy nie przesadzili, porównywując skorupę ziemi do ścian kociołka

Teraz rzucimy okiem na kilka chorób, które ostatniemi czasy pojawiły się na skorupie ziemi; z nich można przynajmniej w przybliżeniu wywnioskować, co prawdopodobnie naszego planetę w niedalekiej czeka przyszłości. Przypomnijmy sobie niesłychane powodzie, które nawidziły Francję, Anglię i Węgry, trzęsienie ziemi, któremu uległo Porto Rico, padając w gruzy, tudzież mniejsze trzęsienia na brzegach atlantyckich, począwszy od Północnej Karoliny, a skończywszy na Waszyngtonie. Prawie rok rocznie Wezuwiusz grozi nowym wybuchem, a niedawno temu, bo zaledwie lat kilka, silne trzęsienie nawidziło także nasze okolice.

Wielkie, wewnętrzne wstrząśnienia ziemi dadzą się łatwo przewidzieć, i to na podstawie stanu atmosfery w głębokich kopalniach węgla. Barometr spada niezwyczajnie, a mimo lamp bezpieczeństwa prawie jest niepodobieństwem uniknąć eksplozji. Przypomnijmy sobie sprawozdania z kopalń węgla. W pierwszych dniach grudnia r. 1875 były trzy wielkie eksplozje w Anglji, mianowicie w Lancashire i South Wales. Wkrótce potem nastąpiła eksplozja w Barnsley, która pochłonęła 140 ofiar, a na drugiej stronie globu przyszło do wybuchu w Wilkesharre, w Pensylwanji. Wszystkie te zjawiska są ściśle z sobą złączone!

Nigdy jeszcze na powierzchni naszej ziemi nie było tyle zjawisk chorobliwych, jak właśnie teraz, co ludzi nauki strachem przejmuje. Profesor Palmieri, mieszkając na Wezuwiuszu, bada go dniem i nocą, i bardzo łatwo, jak Plinjusz młodszy, może paść ofiarą swojej gorliwości. Robert Mallet bada faliste poruszenia i wewnętrzne wstrząśnienia ziemi przy pomocy nowowynalezionego instrumentu, który składa się z całego szeregu starannie ustawionych magnesów. Instrument znajduje się w najgłębszej minie belgijskiej, nieopodal Nemuru, a temperatura, która go otacza, wynosi 102 stopnie Fahrenheita. Wood, Forster i inni sławni angielscy min inżynierowie robią podobne doświadczenia w Durham w Anglji, i wszyscy w tem się zgadzają, że skorupa ziemi jest teraz wystawiona na nadzwyczajne parcie gazów wewnętrznych. Bardzo ważną wskazówkę tego, co stać się może, mamy obecnie w astronomicznem spostrzeżeniu, ktore uczyniono w lecie r. 1875. Oto jedna z gwiazd wydzieliła nagle z siebie setną część swojego żaru. Taka sama straszliwa eksplozja na naszej ziemi mogłaby łatwo nastąpić. I nie sądźmy, by podobne zjawisko nie miało już przykładu. Między Marsem a Jowiszem poruszał się ongi, przed wiekami, duży planeta, który prawdopodobnie tak samo jak nasza ziemia przechodził najrozmaitsze życia koleje, dopóki nie doszedł do śmierci okresu. Wtedy nastąpiła nagła eksplozja gazów wewnętrznych, poczem zostały cztery asteriody; Ceres, Pallas, Juno i Westa, jak cztery cmentarze rasy, która prawdopodobnie silniejszą była niż nasza.

Że los taki może i naszą ziemię spotkać, jest to bardzo prawdopodobne. Wielu uczonych zgadza się w tem, że ziemia minęła już epokę rozkwitu, a więc życia właściwego, i teraz bądź powoli będzie się chylić do upadku, bądź skończy nagłą śmiercią. Ostatnie przypuszczenie jest najbardziej prawdopodobne.

Mało wiemy o pochodzeniu meteorów, prócz przypuszczenia, że są to ułamki planet podobnych do ziemi, które obracały się dokoła słońc innych; wiemy atoli na pewne, że miljony i miljony tych ułamków pada w słońce i przyczynia się do jego gorąca. Jeżeli teraz zważymy, że płomienny wieniec słońca ma promienie wynoszące 300.000 mil długości, i że w obrębie tych promieni najtwardsze kruszce w mgnieniu oka w parę się przeistaczają, to łatwo przypuścić, że taki ogień pożre wszystkie planety naszego systemu, poczem cudowne dziś słońce będzie się poruszało w przestrzeni jak kula zimna i czarna. Do takich wniosków doszedł sławny francuski naturalista, Wiktor Herault. Według niego ziemia nasza musiałaby także eksplodować, aby słońcu przyczynić pożywienia. Być może że do tego z czasem przyjdzie — chociaż miejmy nadzieję, że nie nastąpi to ani za życia naszego, ani za życia naszych dzieci i wnuków! A co potem będzie — w Boskiej to mocy!

POGADANKA.

Krakowski komitet jubileuszu Kraszewskiego odbył w tych dniach posiedzenie, na którem ostatecznie postanowiono dzień i miejsce obchodu jubileuszowego, przyczem starano się uwzględnić najrozmaitsze okoliczności i życzenia. Już poprzednio komitet rzeczony za pośrednictwem prezydenta miasta Krakowa porozumiał się w tej mierze z jednej strony z rozmaitymi prowincyonalnemi komitetami jubileuszowemi, z drugiej zaś z samym czcigodnem jubilatem, który na odnośne zapytanie odpowiedział listem następującym: „JW. Prezydencie! Nad zasługi i nadzieje wynagradzacie mnie łaską waszą. Staremu Krakowowi winna od nas cześć i miłość, każdego takiego dowodu uznania i współczucia, pochodzącego z grodu stolicy, cenę wysoko podnosi. Z sercem przejętem wdzięcznością odczytałem wyrazy listu waszego. Mam wprawdzie pół wieku

służby za sobą, lecz samą pracą i tylu dowodami uznania tak jestem już sowicie wynagrodzony, że więcej pragnąć nie mogę. Byłbym przeto tej myśli, aby raczej wszelkiego obchodu zaniechać, gdy dziś czas dla nas skupienia ducha i cichego trudu. Zarządzicie inaczej — zastosuję się do woli waszej, w żadnym jednak razie nie moją rzeczą o miejscu stanowić i chwilę wybierać. Będę wam posłusznym, szanowny Prezydencie, ale proszę, abyście tylko własną dogodność mieli na celu. Stanie się jak wy postanowicie. Raczcie przyjąć“ itd. W skutek listu tego i wszechstronnego porozumienia komitet zgodził się na to, ażeby obchód jubileuszowy odbył się w Krakowie dnia 30. września. Szczegółowy program obchodu wkrótce będzie ogłoszony, a nie wątpimy, że komitet krakowski nic nie zaniedba, ażeby mieszkańcom wszystkich ziem polskich ułatwić udział w tymże. Jest dobra sposobność zrewanżowania się za wystawę lwowską.

Ruch „literacko artystyczny“ aż do wyszumienia się szampanu, zwanego karnawałem, ograniczyć się musi chyba do publikacyj tego rodzaju, jak porządek tańców i konta kupców za estetyczny układ toalet... nie mówiąc już o samej żywej estetyce pląsów i twarzyczek biorących w nich udział. Pod każdym z wymienionych względów odznaczać się miał bal polski w Wiedniu, dany przed tygodniem, oraz dwa bale na salonach książąt Druckich Lubeckich i Czartoryskich w Krakowie, urządzone in usum bawiącego tam arcyksięcia Fryderyka z małżonką. Te ostatnie, świetnością, ochotą i cechami narodowemi przypominać miały tradycyjne zabawy na dworach panów polskich. Nie brakło tam i kuligu i wesela krakowskiego z charakterystycznemi typami druhn, drużbów i organisty, i spiewek dziarskich na temat krakowski. Z lwowskich zabaw zapustnych najwięcej powodzenia miał podobno bal lekarzy i urzędników mierniczych. Na ostatnim balu stawało po 130 par do kadryla i bawiono się ochoczo do białego dnia. Maskaradom natomiast nie wiedzie się w tym roku. Na dwa tygodnie przed popielcem zapowiedziana była ostatnia, na dochód Towarzystwa wzajemnej pomocy artystów sceny, a i ta przy wszelkiej staranności komitetu urządzającego nie odpowiedziała oczekiwaniom pod względem kasowym. Czy maskarady na sali balowej już się rzeczywiście przeżyły? Być może, a to zapewne dla tego, że się odbywają teraz codziennie, ciągle na sali... życia! Jeżeli poeta twierdzi, że „co ma odżyć w pieśni, zginąć musi w rzeczywistości,“ dlaczegoż by nie można równem prawem powiedzieć, że co odżyło w rzeczywistości zmarnieć musi w pieśni?

Teatr znowu w ostatnim tygodniu wystąpił z nowością, komedją Fredry Ojca „Co tu kłopotu!“ — ostatniem z dzieł pośmiertnych znakomitego naszego komedyopisarza, i w rzeczy samej nacechowanem wszelkiemi zaletami jego talentu. Już to dyrekcja teatru wcale nie daje karnawałowi za wygraną, nie zakłada rąk jak n. p. dyrekcja towarzystwa muzycznego, która zapomniała snać o tem, że już trzeci miesiąc upłynął od ostatniej jej produkcji. Cierpliwość melomanów lwowskich wystawiona jest na próbę prawdziwie ogniową! Gdyby nie dwa koncerty Rubinsteina w ostatnim kwartale, moglibyśmy całkiem zapomnieć, że są na świecie jakieś tony, przyjemniejsze od tych, jakie sobie nadawać zwykli próżni ludzie, i że są jakieś akordy przyjemniejsze od tych, które nas obowiązują do dotrzymywania terminów.

Od kilku dni otwarta jest w ratuszu wystawa przedmiotów, zakupionych z funduszów miejskich i krajowych oraz prywatnych ofiar przez Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego na ostatniej wystawie powszechnej w Paryżu, dla muzeów krajowych. Pomiędzy przedmiotami temi znajduje się najwięcej wyrobów ceramicznych; widać, że czcigodny opiekun krajowego przemysłu domowego con amore spełniał swą missję w Paryżu. Alež bo rzeczywiście garncarstwo jest i bez wątpienia pozostanie najwalniejszą gałęzią naszego przemysłu domowego, potrzebuje więc jak najwięcej wzorów. Daleko nam wprawdzie do Sevres, ale tem energiczniej pracować należy nad skróceniem tej odległości, a pod tym względem niestrudzone usiłowania i głęboka wiara hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego mogą służyć za świetny przykład i zachętę.

W szeregu odczytów p. B. Abakanowicza na dochód Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, ostatni odznaczał się wielce zajmującym dla szerszej publiczności przedmiotem i był illustrowany niemniej zajmującym eksperymentem. Prelegent mówił o najnowszych wynalazkach w zakresie oświetlenia elektrycznego, a rozporządając odpowiedniemi przyrządami, sprowadzonemi dla gabinetu fizykalnego Szkoły politechnicznej, urządził swemu audytoryum oświetlenie elektryczne podług systemu Jabłoczkowa, przyjętego już we wszystkich miastach Zachodu, zamierzających powoli w oświetleniu ulic zastąpić gaz elektrycznością. Audytorjum miało też wszelki powód być „olśnionem“ tym eksperymentem, wiadomo bowiem, że światło elektryczne nie żartuje z oczami jeżeli rażącej nagości jego nie przysłoni się matową umbrelką. Prelegentowi należy się wdzięczność tak za ostatni wykład, jak i za szereg poprzednich, które zaznajomiły publiczność lwowską z najnowszemi głośnemi wynalazkami na polu fizyki zastosowanej. *w. i.*

MYŚLI.

Prawdziwie nieszczęśliwym tylko ten może się nazwać, którego życie mija bez miłości i przyjaźni.

Biada mężczyźnie, który u swojej żony nie może nic więcej cenić prócz blasku młodości; ale stokroć biada kobiecie, której mąż nic w niej cenić nie może prócz tego wdzięku przelotnego.

Użycie władzy, staje się często nadużyciem.

OKRUSZYNY.

LITERATURA. — SZTUKA. — WIEDZA.

— Wydział historyczno-filozoficzny Akademii krakowskiej odbył posiedzenie dnia 10. b. m., na którem dr. Hoszowski czytał rzecz o rodzie margrabiego Myszkowskiego, oraz o życiu tego niepospolitego męża, a następnie dr. Józef Szujski przedstawił kodeks listów Eneasza Sylwiusza, późniejszego papieża Piusa III., niegdyś własność A. Z. Helcla, obecnie zaś biblioteki hrabiny Adamowej Potockiej. Kodeks ten jest wierną kopią zbioru ułożonego przez samego Eneasza i w obec przygotowywanego przez Voigta wydania listów tego papieża, ma niezaprzeczoną wartość.

— Znany z prac estetycznych hr. Wojciech Dzieduszycki w zeszłym tygodniu miał w resursie obywatelskiej w Warszawie odczyty, które pod formą „wspomnień z Florencyi“, obejmowały rozległy zakres sztuki włoskiej. Odczyty te zostały przyjęte życzliwie przez publiczność warszawską.

— W dniu 12. b. m. polskie koło poselskie w Berlinie obchodziło uroczyście jubileusz 30-letniej działalności parlamentarnej posła wielkopolskiego p. Juliusza Pilaskiego. Czcigodny jubilat, liczący obecnie 75 lat wieku, wystąpił na arenę polityczną w r. 1849, wybrany wówczas do pruskiej Izby panów, w której dwa lata zasiadał, poczem piastował aż do dziś nieprzerwanie mandat do Izby poselskiej, przez cały ten czas walcząc mężnie słowem o interesa swego kraju ojczystego obok takich szermierzy patryotycznego sztandaru, jak Gustaw Potworowski, Karol Libelt, A. Łączyński, Brodowski, Szuman, Bentkowski, Niegolewski, Cieszkowski i inni.

— W Wrocławiu zakończył niedawno życie księgarz nakładca Ferdynand Hirt, który przed laty utrzymywał liczne związki z autorami i publicznością polską.

— Przy obserwatorjum astronomicznem w Paryżu powstało od niedawna muzeum, składające się z portretów znakomitych astronomów i uczonych w innych gałęziach wiedzy, którzy jakiekolwiek zasługi położyli około tego zakładu od czasu jego założenia, dalej ze zbioru medali mających związek z astronomią, a nareszcie ze zbioru rysunków, sztychów i fotografij, przedstawiających ciała niebieskie lub rozmaite zjawiska natury. Dotychczas zebrano w tem nowem muzeum posągi założyciela obserwatorjum paryskiego, Ludwika XIV., Cassiniego, Lalanda, Leverriera, liczne medale z mennicy paryskiej i zbiorów prywatnych, wybornie wykonane mapy księżyca Cassiniego, oraz rozmaite dziś jeszcze używane lub dawniejsze narzędzia astronomiczne i t. p.

— Niestrudzony, znakomity badacz starożytności greckich, dr. Schliemann, który na czas zimowy przerwał był swe ostatnie, tak bogatym plonem uwieńczone poszukiwania w okolicy starego Ilionu, donosi z Aten, iż dzięki pośrednictwu ambasadora angielskiego p. Layarda w Stambule, uzyskał od rządu tureckiego nowy ferman z zezwoleniem na przekopanie starożytnych kopców w pobliżu Hissarliku (miejscowość położona dziś w miejscu Troi), odznaczających się kształtem konicznym i według podania zawierających szczątki wielu bohaterów „Iliady“. Odkrywca wspaniałych zabytków mykenejskich, itackich i trojańskich bezzwłocznie zabierze się do tych nowych poszukiwań na gruncie klassycznym.

PODRÓŻE I PRZYGODY ŻEGLARZY.

— Na wysepce Inaccessible, należącej do małego archipelagu Tristan d' Acunha na południu oceanu Atlantyckiego, jak donosi jeden z dzienników południowo amerykańskich niedawno statek „*Chalenger*“ znalazł dwóch rozbitków, Niemców, którzy na wzór Robinsona Kruzoe dwa lata spędzili w zupełnej samotności na tym wulkanicznym, dokoła skałami podwodnemi otoczonym lądzie. Rozbitki wybudowali tam sobie chatkę w pobliżu rzeczułki i żyli przeważnie z polowania. Są to bracia Stoktenroffowie, synowie fabrykanta z Akwisgranu. Jeden z nich doznawszy już raz przedtem rozbicia na wodach archipelagu Tristan d' Acunha, za powrotem do ojczyzny namówił brata swego, ażeby się z nim udał na rzeczony archipelag dla połowu ryb. Zamiar ten przywiedli bracia do skutku, lecz podczas pobytu na wysepce Inaccessible nieszczęśliwym wypadkiem utracili swój statek i ujrzeli się nagle odciętymi od świata. Nadto ogień zniszczył ich zapasy żywności tak, że za zbliżeniem się pierwszej zimy byliby padli ofiarą głodu i zimna, gdyby nie ptaki, których niezmierne stada zalatywały na skalistą wysepkę i na które rozbitki polować mogli bez trudności. Następnego lata odważni bracia wpław przepłynęli odnogę morską, dzielącą ich wysepkę od sąsiedniej, i u mieszkańców tejże, którzy okazali się dla nich gościnnymi, zaopatrzyli się w nowe zapasy prochu i inne potrzeby. Kiedy nareszcie przepływał koło miejsca ich poniewolnego pobytu okręt „*Chalenger*“ umieli uwagę osady jego zapomocą znaków zwrócić na swą obecność na wysepce i dostali się na jego pokład. Nowi Robinsowie dość byli znużeni samotnem życiem swojem, lubo przez dwa lata pobytu na wyspie nie próżnowali wcale, gdyż dokonali mnóstwa ciekawych spostrzeżeń przyrodniczych.

— Znany badacz zachodniej Afryki, uczony angielski mr. Mackenzie, w zeszły czwartek udał się na pokładzie umyślnie na ten cel urządzonego parowca „Corsair“ w ponowną podróż po wybrzeżach Afryki, tym razem do przylądka Duby. Towarzyszy mu w tej wyprawie naukowej liczny orszak urzędników angielskich i tłómaczy, przy pomocy których będzie się mógł porozumiewać z krajowcami zwiedzanych okolic. Po drodze zatrzyma się wyprawa u wysp Kanaryjskich, gdzie najmie ludzi do gromadzenia podczas podróży zbiorów etnograficznych i przyrodniczych dla muzeów angielskich.

WYNALAZKI I ODKRYCIA.

— Jeszcze przed kilku laty żaden lekarz nie odważyłby się był wyjąć całkowicie krtani z gardła ludzkiego, a cóż dopiero zastąpić ją sztuczną! A jednak bywają wypadki takiego zepsucia krtani przez wrzody, narośle i fistuły, że tylko całkowite jej usunięcie może chorego od zaduszenia ochronić. Po raz pierwszy przed kilku laty (w 1873) dokonał tego slawny chirurg Billroth, a dokonał w sposób tak pomyślny, że chory nietylko wyzdrowiał, ale i głos odzyskal. Na miejscu zepsutej krtani wstawiono mu nową, która znana jest w nauce pod nazwą rurki Gussenbauera. Obecnie Dawid Foulis, prof. patologii i chirurgii w uniwersytecie glasgowskim znowu doświadczalnie wykazał jej wartość. Wypadek był tego rodzaju, że w r. 1876 zgłosił się do niego młody robotnik z fabryki sukna, skarżąc się na uporczywą chrypkę. Mimo wszelkich starań nie udało się lekarzowi wyleczyć chorej krtani, w której poczęły się tworzyć narośći, tamujące nietylko głos ale i oddychanie. Wycinane odrastały i ostatecznie okazało się takie zepsucie organu, że nie pozostawało nic jak wyciąć go zupełnie. Po długiem wahaniu chory z obawy uduszenia zgodził się nareszcie, i blisko trzy godziny trwająca operacya została wykonaną szczęśliwie we wrześniu 1877 r. Ale naturalnie chory tracąc krtań stracił i zdolność mowy. W kilka tygodni potem, gdy rana zaczęła się goić, Foulis postanowił wprowadzić do tchawicy sztuczną krtań Gussenbauera ulepszoną przez doktora Iroine'a i dentystę Fouldsa. Przyrząd ten składa się z dwóch rurek lekko zgiętych, z których jedna wchodziła w głąb kanału, druga zaś wystawała do jamy ustnej przy naturalnej zastawce

(epiglottis). W miejscu zaś, gdzie się dwie rurki, nieco do siebie pochylone, łączyły, umieszczony był języczek metalowy, zastępujący struny głosowe i mogący drgać pod naciskiem prądu powietrza z płuc wysyłanego. Blaszka ta była najprzód z nowego srebra, potem próbowano użyć za materyał bronzu, kości słoniowej, stali, rogu, wulkanitu, trzciny itp. Chory sam nauczył się fabrykować te blaszki i wstawiać je sobie w gardło dla próby, co mu pozwala zmieniać głos w miarę ochoty. Najwdzięczniejszy ton powstaje w krtani sztucznej przy użyciu blaszki z aliażu srebra i mosiądzu; pacyent przenosi je nad inne także z tej przyczyny, że wymaga najmniejszych wysileń przy mówieniu. W ogóle jednak blaszki metalowe, dobre do śpiewu, zbyt zmieniają naturalną barwę głosu podczas mowy. Blaszka zaś wulkanitu, w ostatnich czasach przyrządzona przez pacyenta, pozwala mu nietylko mówić głosem zwykłym, ale nawet krzyczeć głośno, tylko że taki języczek wymaga większych wysileń przy użyciu. Bądź co bądź człowiek o sztucznej krtani wymawia najdokładniej wszystkie wyrazy, zachowując tylko głos monotonny, którego cieniować nie może — natomiast może sobie wprawić w gardło głos tenorowy lub basowy, stosownie do konsystencyi użytych blaszek.

— Odkrycie w roku zeszłym przez uczonego szwedzkiego, Dra Nordenskjölda, drogi morskiej przez morze Lodowate do Syberyi i pomyślny początek interesów handlowych dały przedsiębiorcom syberyjskim powód do budowy statków. W Tiumeniu ostatniemi czasy zbudowano już dwa okręty handlowe, a rzeką Ob spławiono znaczne ładunki płodów krajowych. Główny artykuł wywozu stanowić będzie zwłaszcza spirytus z gorzelń syberyjskich.

PRZEMYSŁ.

— Produkcja złota w Rosji znacznie się w ostatnich czasach wzmogła. W górnym Uralu niedawno znaleziono wielkie pokłady piasku złotonośnego wcale bogate; kopalnie zaś rządowe w Berezowsku, w guberni Permskiej wydzierżawione zostały na 10 procent czystej wydajności, która na pierwsze lat dziesięć unormowana jest najmniej na 80 funtów czystego złota. Z guberni jenisejskiej donoszą, że nad górną Angarą, w kopalni kupca Matunina, znaleziono pod wioską Motygina bryłę czystego złota, ważącą 147 funtów, wartości 90.000 rubli. W Finlandyi również otworzono kopalnie złota, z których jedna dała w ubiegłym roku 5,679 gramów czystego złota, wartości 15.000 franków. W ogóle teraźniejsza produkcja złota w Rosji ceniona jest na 50 do 55 miljonów rubli.

— W jesieni roku bieżącego otwarta będzie wystawa powszechna w Sidneju, w Australii. Będzie to pierwsze tego rodzaju przedsięwzięcie międzynarodowe na południowej półkuli ziemi. Wiadomo, że na tej półkuli panuje lato w naszych miesiącach zimowych, i na odwrót zima w naszych letnich miesiącach. Dla tego to otwarcie wystawy nastąpi we wrześniu, który w Australii odpowiada naszemu majowi. Amerykanie zamierzają za kilka lat urządzić wystawę powszechną w Nowym Jorku. Odnośny projekt jest już podobno wypracowany i będzie wkrótce przedłożony kongresowi washyngtońskiemu. Projekt wystawy powszechnej w Rzymie w r. 1871 dotąd jeszcze nie został rozwinięty w sposób, któryby pozwalał mieć nadzieję, iż rzeczywiście będzie zrealizowany. Podobno nawet nie zdecydowano się dotychczas, czy wystawa ta ma być urządzona w Rzymie, czy też w Medyolanie lub Florencyi.

DROBNOSTKI.

— Pensye śpiewaków w londyńskim „Covent Garden Theater“ ogromem odpowiadają zupełnie ołbrzymiej stolicy nadtamizowej. Pobierają tam miesięcznie: Adelina Patti 80.000 franków, Albani 40.000 fr., d'Ahgnieri 20.000 fr., dwie altystki po 10.000 fr., tenorowie Nicolini i Gayare po 20.000 fr., Marini i Capoul po 14.000 fr., barytonowie Faure 20.000, Lassalle i Graziani po 12.000 fr., basy Gailhard 12.000 i Bagagiol 8.000 fr. Drugorzędni członkowie tej opery pobierają po 8 do 5 tysięcy franków. Ta ostatnia pensya jest najniższa.

— Obrazy olejne *á la minute*! W rzeczy samej, wiek telegrafów i kolej żelaznych mógł nam sprawić i tę niespodziankę. Nie bardzo więc byliśmy zdziwieni, wyczytawszy w dziennikach moskiewskich, że niejaki p. Einseppe Carlo, malarz włoski, popisuje się od pewnego czasu w jednym z teatrów peterburskich malowaniem obrazów na dany przez publiczność temat w ten sposób, iż wykonywa je „na zawołanie“, t. j. w oczach całego audytorjum, nie potrzebując nad 40 minut czasu do wykończenia płótna na metr szerokiego i odpowiednio wysokiego. Dzienniki rzeczone zapewniają, że nie ma się tu wcale do czynienia szarlatanem, lecz że pan Carlo jest prawdziwym artystą, improwizatorem pendzla. Wykonane w powyższy sposób obrazy jego odznaczać się mają rysunkiem i kolorytem zarówno, jak trafnem zużytkowaniem danego improwizatorowi tematu, a nawet wykończeniem starannem. I tak n. p. „Burzę morską“ wymalował p. Carlo w ciągu 38 minut, „Scenę miłośną“ za 32 minut, a obadwa obrazy powszednie się podobały i znalazły zaraz kupców wśród audytorjum. Za drugi pewien amator wyliczył artyście 200 rubli.

PAMIĘTNE ZDARZENIA.

— Ojciec święty, Leon XIII. stosując się do odwiecznego zwyczaju, przyjętego przez następców św. Piotra, wydał w tych dniach list pasterski, publikowany d. 15. lutego b. r. w rzymskich pismach katolickich, którym ogłasza światu katolickiemu, że od dnia 2. marca b. r. począwszy, aż do 1. czerwca, trwać będzie papieski jubileusz.

— Sławne zdroje cieplickie, które od lat tysiąca przeszło tylu chorym przywróciły zdrowie, dnia 12. lutego nagle bić przestały w skutek zalewu wód podziemnych w sąsiednich kopalniach osieckich, a dotychczas też nie ma nadziei, ażeby się pokazały na nowo. Klęska to nie tylko dla miasta Cieplic, ale dla całej cierpiącej ludzkości.

— Dnia 8. lutego podpisany został w Konstantynopolu traktat pokojowy pomiędzy Turcyą a Rossyą. Wojska rossyjskie do sześciu tygodni opuścić mają zajmowane dotąd ziemie tureckie.

— W ostatnich dniach stycznia część armii angielskiej, operującej przeciw państwu Zulu, w południowej Afryce, poniosła stanowczą klęskę i prawie całkiem została zniesiona przez armię króla Zulów, Cetewajo. Parę tysięcy Anglików poległo, zwycięzcy zabrali cały ich obóz, i zagrażają kolonii angielskiej, Natalowi.

Rozmaitości.

Głowa nabita opisami zbrodni. Już dziś nie ulega wątpliwości, że autorowie powieści zaprawianych zbrodniami powinni być odpowiedzialnymi w obec prawa na równi z fałszerzami pokarmów, trucicielami i demoralizatorami wszelkiego rodzaju. Powieści takie razem z artykułami dziennikarskiemi, opisującemi szczegółowo, z artyzmem, zbrodnie dokonane, pomnażają nieszczęścia, wywołują naśladownictwo, a bałamucąc imaginację, skłaniają do gonienia za nadzwyczajnością. Teraz naprzykład „krajanie ciała ofiary w kawałki“ weszło w modę u zbrodniarzy; dopuszczający się zbrodni ślepo naśladuje swego poprzednika, bez namysłu praktykuje to, co w dzienniku wyczyta lub o czem zasłyszał — ofiarę swą w kawałki kraje. Fakt naśladownictwa ślepego potwierdził kongres hygienistów, odbyty w Pizie, na którym zadecydowano, że „prasa oddawszy dobrobytowi narodów niemałe przysługi, równocześnie przyczynia się do rozpowszechnienia samobójstw przez opisywanie zbrodni ze szczegółami i takim wdziękiem, iż ludzie, skłonni do targnięcia się na własne życie, idą za głosem wymownego kronikarza i giną za jego namową.“ To samo spotykamy w różnych operacjach złoczyńców; byle który z nich wymyślił coś nowego a dowcipnego, wnet będzie miał tłum naśladowców. Jak głowa nabita opowiadaniami o zbrodniach łatwo da się obałamucić, tak, że nawet oczy nie potrafią dopatrzeć prawdy, dowodzi komiczny wypadek, który zdarzył się w pewnem niemieckiem miasteczku. Pewnego poranku ktoś dał znać, że na polu, tuż przy drodze, leży odcięta krwią ociekła ręka. Na ten alarm wylęgło na pole kilkadziesiąt osób, ze zgrozą przypatrując się owej ręce, leżącej w rowie, poczem wykrzykiwano: Znowu kogoś pokrajali w kawały! — A działo się to w kilka dni po zbrodni Billoira, opisywanej przez wszystkie dzienniki świata, a czytanej przez miliony ciekawych i wrażliwych umysłów. Gdy tak wszyscy ubolewają nad ową ręką — zbliża się jakiś człek rozważniejszy, nachyla się, przypatruje i w owej ręce poznaje... burak! Burak czerwony rzeczywiście miał kształty ręki; długi jego korzeń, więcej płaski niż okrągły, wyobrażał dłoń, z której wyrastało pięć odnóg, podobnych do palców. Była to rzeczywiście postać ręki ludzkiej, łatwo się nią mogły przerazić głowy nabite historjami o krajaniu ludzi. Podobnie, tylko mniej zabawnie kończące się złudzenia, odnajdziemy w każdem kole czytelników, uganiających się za nowościami kryminalnemi.

Nowe stowarzyszenie. W Nowym-Yorku zawiązał się klub panienek, który postanowił nad tem pracować, aby na świecie nie było starych kawalerów. Klub wydał bezżeństwu wojnę na śmierć, co tem łatwiej mu przychodzi, że w żonatych ma naturalnych sprzymierzeńców. W ostatnich czasach w klubie spisano wszystkich starych kawalerów i wdowców w mieście mieszkających. Wdowcom nie wolno poprzestać na jednej próbie; przeciwnie, w oczach klubu wdowiec jest jeszcze niebezpieczniejszym aniżeli kawaler, ten bowiem może być obojętnym lub nieszczęśliwym, gdy tymczasem wdowiec nie chcąc się drugi raz ożenić, okazuje tem samem, że małżeństwo poczytuje za nieszczęście, do którego nie radby drugi raz wrócić. Wdowiec jest zdrajcą, który zna tajemnice pożycia małżeńskiego. Klub postępuje w sposób następujący: Wybrany do stanu małżeńskiego otrzymuje wezwanie, ażeby do 6 tygodni wybrał sobie żonę. Jeżeli termin upłynie bezskutecznie, otrzymuje pierwsze ostrzeżenie, jeżeli i tym razem nie usłucha, rozpoczynają się kroki nieprzyjacielskie. Oporny widzi zaraz, że jest wystawiony na nieprzyjemności najrozmaitsze. Jego gospodyni wymawia mu mieszkanie; kucharki nie może znaleźć, a o pomoc kobiecą napróżno błaga. Jeżeli jest młody, członkowie klubu krzyżują jego plany, drażnią jego wierzycieli i zatruwają mu każdą przyjemność: słowem czyni się wszystko, aby mu obrzydzić stan kawalerski. Mówią, że klub skłonił już temi sposobami kilkaset osób do wstąpienia w roskoszny stan małżeński.

Zezwolenie pasterskie. Biskup z Amiens, monsignor d' Orléan de la Motte, który w drugiej połowie wieku XVII umarł mając lat przeszło dziewięćdziesiąt, należał do najbardziej miłych i wesołych staruszków. Lubił on żarty, i nieraz udawały mu się kalambury, które później obiegały nietylko Francję, lecz także całą Europę. Raz zapytała go pewna dama, należąca do wyższego świata: „Zechciej mi powiedzieć Monsignore bez obwijania w bawełnę, jakie jest twoje zdanie o używaniu blanszu i różu przez kobiety. Czy jest to grzech, czy nie?“ „Wątpliwość pani — odparł prałat — nie jest bez podstawy. Niektórzy kazuiści poczytują takie malowanie za grzech śmiertelny, i ci wydają się pani, i to całkiem słusznie, jako zbyt surowi; inni natomiast pozwalają na malowanie bez żadnych zastrzeżeń, a tych znowu uważasz pani, nie mniej słusznie, za zbyt łagodnych. Co do mnie, sądzę, że obie strony idą za daleko. Ja mniemam, że jak wszędzie tak i tu należy szukać drogi pośredniej, która będzie najlepszą. Nie ulega zatem wątpliwości, że bez narażenia się na jakickolwiek wyrzuty sumienia, możesz pani sobie malować jednę połowę twarzy.“

Kapitele koryncki. Niejeden przypatrując się prześlicznym kapitelom korynckim, składającym się z harmonijnie ułożonych liści akantusu, zastanawiał się może nad tem, zkąd starożytnym Grekom przyszło do głowy wprowadzić tę roślinę do budownictwa. Według pisarzy klassycznych, taka jest geneza kapitelów korynckich:

Pewna Greczynka, utraciwszy jedyne dziecię, które jej nagłą śmiercią umarło, chodziła codzień na miejsce wiecznego spoczynku, gdzie zdawało jej się, że rozmawia z cieniem ukochanej istoty. Raz przyniosła koszyk, napełniony ulubionemi zabawkami dziecka zmarłego, i przypadkiem postawiła go na akantusie ukrytym jeszcze do połowy w ziemi, który na wschodzie jest rośliną bardzo pospolitą. Roślina rosła dalej, a ponieważ znalazła zaporę, więc liśćmi swemi oplotła koszyk jak wieńcem. Przypadek zrządził, że jeden z najznakomitszych ówczesnych rzeźbiarzy przyszedł właśnie na cmentarz, a zobaczywszy koszyk tak cudownie owity, postanowił taką samą ornamentykę powtórzyć na kamieniu. Jak pomyślał, tak uczynił, i tym sposobem liść akantusu pozostał do dziś najpiękniejszą kolumn ozdobą.

Państwo Akem. O państwie Akem, znajdującem się w zachodniej Afryce, między 6 a 7 stopniem szerokości północnej, podał kapitan J. S. Hay na jednem z ostatnich posiedzeń londyńskiego Tow. geograficznego, szczegóły następujące: Hay spędził w r. 1875 trzy miesiące w Kjebi, stolicy państwa Akem. Wioski i miasta leżą w tem państwie bądź na pagórkach, bądź jakby do nich przylepione. Pagórki są znowu otoczone odwiecznemi lasami, tak, że podróżny będąc w nich, ani przypuszcza by się znajdował w pobliżu ludzkiej siedziby; tymczasem ledwie z lasu wyjdzie, wstępuje od razu do miasta lub wioski. Na środku wsi znajduje się zawsze duże drzewo bóstwu poświęcone; w stolicy zaś są aż dwa drzewa, pod któremi król cudzoziemców przyjmuje. Mężczyzni są słabej budowy i niesłychanie leniwi; kobiety natomiast jakkolwiek niewielkiego wzrostu, są lepiej zbudowane i za mężczyzn chętnie pracują. Co u tych ludzi najbardziej uderza, to niesłychanie rozwinięte kości policzkowe, które wyradzają się w formalne dwa rogi, wyrastające tuż pod oczami. Do napojów, jak w ogóle wszyscy murzyni, mają i oni skłonność nadzwyczajną — a najmilszem ich pożywieniem jest mięso z małpy, przyrządzone z olejem palmowym.

W Kolekturze. Panienka młoda i piękna od lat 16—18 wchodzi do kolektury i wszczyna się taka rozmowa. Ona: — Minionej nocy miałam sen szczególny, ale nie wiem zaiste, jak go opowiedzieć. Kolektant: — Bez trwogi, moje piękne dziecię, sny są wskazówkami losu. Ona: — Tylko nie patrz pan na mnie, bo doprawdy będę się żenować... oto śniło mi się, że mój narzeczony pocałował mnie kilkanaście razy. Kolektant: — Jeżeliś pani przyjmowała pocałowania niechętnie, w takim razie trzeba wybrać liczbę 36, a jeżeli chętnie, to 48. Ona (po chwili wahania i namysłu): — Mój panie, najlepiej chyba będzie, jeżeli postawimy 48.

Wyznanie małżeńskie. On: — Wierz mi, gdybyś była znała moją pierwszą żonę, łatwo zrozumiałabyś mój ból po jej stracie. Ona: — Wierz mi, że nad jej stratą ja nierównie więcej aniżeli ty boleję.

Biedny izraelita. Pewien żyd cywilizowany straciwszy na giełdzie cały swój majątek, zawołał: „Mój Boże! jak mię doświadczasz! Nie tylko już nic nie mam, lecz nawet mojego nieszczęścia nie mogę znosić z pokorą chrześcijańską!“

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.